TRAGIZM ODRODZENIA NARODOWEGO LITWY.

W artykule niniejszym poruszam coraz aktualniejszą, coraz boleśniejszą i drażliwszą kwestyę stosunku Litwinów do Polaków, stosunku, który zwłaszcza w chwili ostatniej przybrał charakter (grzecznie mówiąc) nieparlamentarny.

Do zabrania głosu w tej kwestyi czuję się moralnie zniewolonym siłą tego faktu, że książka moja p. t. „Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej“, wydana przed laty, wymaga wielu sprostowań, poprawek i uzupełnień — zwaszcza odnośnie do formy i charakteru odrodzenia narodowego Litwy. Świadom jestem, że głos mój będzie iskrą, rzuconą do „beczki z materyałem palnym“, nagromadzonym przez nacyonalistów litewskich, że nadto — jako Litwin — narażam się ze strony braci moich, opętanych nacyonalizmem, na miano co najmniej „zdrajcy interesu narodowego“. Świadom jestem tego, a jednak milczeć nie mogę! Odrodzenie narodowe litewskie wkraczać poczyna już na takie tory, których niebezpieczeństwo dla ducha narodowego Litwy nie zachęca bynajmniej do milczenia, zwłaszcza Litwina. Polityka obecnych kierowników sprawy narodowo-litewskiej, częstokroć kolidująca z prawem odpowiedzialności, po prostu zniewala do protestu, choćby w formie szkicowo opracowanego artykułu, oświetlającego kwestyę litewską z innego punktu widzenia, przez fanatyków ignorowanego. Oto są pobudki, któremi się kieruję, pisząc niniejszy artykuł.

I.

Od r. 1905 Litwa przeżywa swoją narodową, „prawdziwie litewską“ reakcyę, i to w kierunku fanatycznego nacyonalizmu — w kierunku (że się tak wyrażę) „wyzwalania instynktów narodowościowych“ kosztem obniżenia wartości duchowych, dostojnością promiennych. Tej ze wszech stron smutnej reakcyi nie przewidział nawet tak bystrego zmysłu pisarz, jakim jest p. Michał Römer, autor niedawno wydanej cennej monografii p. t. „Litwa“, wy-

czerpująco i źródłowo streszczającej historyę odrodzenia narodowo-litewskiego od jego początku aż do roku 1905. Będąc pod urokiem „nadziemskiego“ ducha rewolucyjności i postępowości litewskiej, która nie była samodzielnym rzutem myśli narodowo-litewskiej, lecz tylko odruchem, wywołanym w zamysłach większej części inteligencyi (nie całej!) i małej garstki zasuggerowanego ludu samym już faktem rewolucyi panrosyjskiej, zapomniał o tym „duchu przyziemnym“, który miał zlikwidować t. zw. „przedsiębiorstwo rewolucyjne i postępowe“ na Litwie w myśl bardzo prostej zasady: „mądry ten, kto umie być cierpliwym“.

Jeżeli nieszczęsny „rewolucyonizm litewski“ był epilogiem romantyzmu litewskiego z r. 1883, był ostatnią próbą „Ikarowego wzlotu“ w romantycznie wymarzoną krainę wolności, to reakcya litewska, panująca obecnie, jest „szkołą umiejętnego pełzania“. Na ruinach „rewolucyi litewskiej“ dokonało się odstępstwo, wraz z tajnem sprzysiężeniem przeciwko tej tradycyi narodowej, która zrodziła tej miary mężów, co Kudyrka, Wyszyński itd., słowem, przeciwko geniuszowi narodowemu. Wszystkie koszta „rewolucyonizmu litewskiego“ musiała zapłacić partya demokratyczna, która, żyjąc pięknemi tradycyami Kudyrki i Wyszyńskiego (twórcy tej partyi), skutecznie przeciwdziałała aspiracyom fanatycznego nacyonalizmu, w stosunku zaś do Polaków kierowała się i kieruje polityką sprawiedliwości i tolerancyi, wolną od prowokacyi i egoistycznej ekspanzyi. Kosztem osłabienia partyi demokratycznej (skutkiem odstępstwa jej licznych wyznawców — całej nacyonalistycznie nastrojonej prawicy), kosztem ograniczenia jej wpływów na lud, oczywiście niepomiernie zyskał na powadze i wpływach żywioł narodowo-klerykalny, a zwłaszcza nacyonalistyczny, łechcący instynkta narodowe, drzemiące w sercu ciemnej masy ludowej.

Kierownictwo sprawami narodu spoczęło w rękach bloku nacyonalistów i klerykałów, dwóch najwpływowszych i najsilniejszych obecnie partyj na Litwie, bo zasilonych t. zw. „zdrajcami postępu i romantycznego rewolucyonizmu“. Duchem jednoczącym te dwie partye jest fanatyzm nacyonalistyczny, objawiający się w całym szeregu (że się tak wyrażę) „spazmów społeczno-politycznych“. W łonie samego narodu litewskiego ten duch fanatyzmu wytworzył osobliwego rodzaju manię „krucyaty“ przeciwko wszystkim „wrogom zjednoczenia“, rozdmuchał iskrę bratobójczej

walki o władzę, słowem, wywołał „zwierza z puszczy litewskiej“, pozornie tak cichej, cmentarnej. Zapanował w narodzie terror gorszy, niźli dawniejszy „rewolucyjny“, bo moralny, zniewalający sumienie do czynów nieodpowiedzialnych. Dziś nie można już wygłosić zdania, krytykującego tego rodzaju postępowanie, bez słusznej obawy noszenia przydomka co najmniej „łajdaka“! Rządzący blok litewski nie przebiera w walce w środkach. Przeciwników swoich, choćby najzacniejszego charakteru, bezcześci wszelkimi możliwymi sposobami, aby tylko zmusić ich do milczenia. Taka demoralizacya nigdy jeszcze nie panowała na Litwie.

Na zewnątrz (zwłaszcza w stosunku do Polaków) ten „nowy kurs“ polityki bloku litewskiego objawia się również spazmatycznie, rzekłbym, epileptycznie. Właśnie tym kierownikom „nowego kursu“ polityki litewskiej zawdzięczać trzeba zaognienie sporu polsko-litewskiego — i to przez powołanie na „sędziów“ osób trzecich (sprawa sławnych protestów w *Wileńskim Wiestniku* i w *Rieczi*), najmniej, zdaje mi się, godnych w tej sprawie miana sędziów. Drobiazgowe kwestye, możliwe do załatwienia drogą polubowną, rozdmuchiwać do rozmiarów „światowej krzywdy“ n a f o r u m o b c e m — oto taktyka tych polityków, zdradzających charakter parweniuszowskich megalomanów. Zaognienie sporu polsko-litewskiego idzie w kierunku najmniej pożądanym dla interesów samego narodu litewskiego, bo w kierunku interwencyi „trzeciej osoby“, która chce się cieszyć!... „Polonofobia“ wytwarza w mało kulturalnych umysłach intelligencyi litewskiej skłonność do t. zw. „dyplomatycznie szachującego rusofilizmu“. Naród rosyjski „mimo woli“ staje się „milszym“ (czy bezpieczniejszym?), niźli polski — a więc jest godnym togi „sędziego rozjemczego“ w sporze, który tylko interesom Rosyi — jako państwa — sprzyja. Chcąc się uwolnić od „polonizacyi“, szowiniści litewscy idą w sidła „rusyfikacyi“. Straszne zaślepienie fanatyzmu nacyonalistycznego!

„Neopolitycy“ bloku litewskiego zdradzają chęć naśladowania wypróbowanej taktyki „ukraińców“, używanej w walce z Polakami — z tą tylko różnicą, że ukraińcy posługują się „łaskawymi względami“ Niemców, oni zaś „opieką“ — na razie „kadetów“. Czy tego rodzaju naśladownictwo ratuje honor indywidualizmu litewskiego, dziś reprezentowanego przez polityków bloku, o tem i mówić nie warto. Wystarczy tylko nadmienić, że polityka, kolidująca z zasadami rozumu politycznego, prowadzi

do zależności od warcholstwa, a w ślad za tem do bankructwa. Energia narodowa nie może się ekspansować awanturniczo. Awanturniczość, która się pomściła na „rewolucyonizmie litewskim“, jeszcze gorzej pomści się na „przedsiębiorstwie politycznem“ bloku. Wyjdą, „jak Zabłocki na mydle“.

Dawno znane błędy polskiej partyi narodowo-demokratycznej (zwłaszcza na Litwie), która przecież nie reprezentuje narodu polskiego, nie mogą usprawiedliwić tego rodzaju błędów polityki bloku litewskiego, wymierzającego cios w samo serce polskości. A tym ciosem jest fakt odwołania się do „sprawiedliwości“ osób trzecich, fakt wywołany apriorycznem, przekornem „przeświadczeniem“, że w narodzie polskim niema poczucia sprawiedliwości w stosunku do Litwinów. Polityka, oparta na tego rodzaju „przeświadczeniach“, w istocie swej jest nieetyczną, niesprawiedliwą, krzywdzącą cudzą godność, a więc nie zasługuje na usprawiedliwienie. Jest to bowiem „polityka niezgody“, łudząca się, że tylko drogą skandalu zdoła coś zyskać. Większa część narodu polskiego niejednokrotnie już wyraziła i dzisiaj wyraża Litwie odradzającej się swoje sympatye[1]) (jak zawsze, połączone z obawą, która wymaga tylko zastanowienia, nie zaś aprio-

---

[1]) Co do *Świata Słowiańskiego*, pozwalamy sobie przytoczyć tu, co o ruchu narodowym litewskim powiedziano zaraz w pierwszym zeszycie naszego pisma, w styczniu 1905 roku: „Dobro Litwy jest naszem dobrem, a Litwa, jak zawsze miała, tak też na przyszłość mieć będzie najżyczliwszego sojusznika w Polsce. Bolesne objawy niechęci ku Polsce, przewijające się wśród litewskiej propagandy, są tedy walką z wiatrakami, z istnem urojeniem, bo niema wcale Polaków niechętnych narodowemu ruchowi litewskiemu; objawy te tłómaczyć wypada tylko nieznajomością stosunków i historyi, a czasem może wpływem postronnym. Faktem zaś jest, że zniesienie zakazu używania alfabetu łacińskiego w drukach litewskich, na czem tak wiele Litwinom zależało, wywołało w całej Polsce taką radość, jak gdybyśmy odnieśli zwycięstwo we własnych naszych sprawach narodowych“.

Porównaj też broszurę p. t. „Kwestya litewska w prasie polskiej“ (Warszawa 1905, w 16-ce, str. 112) i recenzyę z niej w *Świecie Słowiańskim*, w zeszycie z września 1906 r. Powiedziano tam między innemi: „Odrębność narodu litewskiego uznajemy najzupełniej i wszelkie jego prawa do rozwoju; ale patryotyzm litewski wydaje nam się strasznie niedojrzałym, jeżeli ma polegać tylko na harcach z Polakami! Litwa na tem nic nie zyska, my też nic nie stracimy i obie strony marnują tylko napróżno czas i energię“... „Należy zawsze w imię prawdy i sprawiedliwości bronić praw języka litewskiego, bez względu na to, czy „litwomanom“ znaną jest prawda, a dostępną ich umysłom sprawiedliwość“.

(*Przyp. Red.*)

rycznego potępienia).Ten fakt bądźcobądź powinien był decydować w wyborze „sędziów“ czysto lokalnego zatargu, to znaczy, powinien był skierować pokrzywdzone uczucie Litwinów przedewszystkiem na sąd opinii narodowo-polskiej. Niestety! Polityka bloku litewskiego lubuje się w modnem „zerwaniu stosunków...“ „Osoba trzecia“ jest bezwarunkowo pożądaną — jako interwencya. Wybór tej „trzeciej osoby“ był iście fatalny. Sędzią Litwy i Polski staje się naród, który ma na sumieniu tyle win nieodkupionych, zwłaszcza odnośnie do Litwy i do Polski! Ironia złośliwa....

I jakiż jest skutek tej polityki w samym narodzie litewskim? Oto nad wyraz smutny. Demoralizacya wzrasta. Lud czyta mniej, niż dawniej, kształci się niechętnie, jest zniechęcony do wszystkiego, bo wszystkiego się boi; lecz za to (jak nam mówi statystyka) więcej, niźli dawniej, wypija wódki i piwa, bardziej jest skutkiem alkoholu zdemoralizowany. Oświata upada — kultura cofnięta wstecz. Większa część inteligencyi tonie w rezygnacyi, apatyi i pessymiźmie. Niema ludzi do pracy kulturalnej, zagrożonej w swych podstawach. Litewskie pisma upadają z braku prenumeratorów, lecz za to rosyjskie cieszą się, bo mają grunt podatny na Litwie... Fanatyzm święci tryumfy. Wre zajadła, nieubłagana walka partyjna w każdym zakątku — nawet w kościołach. Zwłaszcza fanatyzm księży litewskich jest po litewsku okrutny, niemiłosierny w walce, nie uznający zasady przebaczenia. Wzajemne pożeranie się jest treścią życia litewskiego w chwili obecnej. Kogo nie zjadło więzienie, choroba nie zniszczyła, tego zabija oszczerstwo. Jakoweś opętanie ogarnęło naród litewski; opętanie, objawiające się w potwornej manii zemsty za owe dni fatalne, co to ściągnęły karę rządu... Spokojny, zimny Litwin, pod wpływem atmosfery denerwującej przemienił się w okrutnika. Nawet głupstwa nie przebaczy. Więc walczy syn z ojcem, brat z bratem, rodzina z rodziną, niewiadomo o co, za co! Biurokracya oczywiście cieszy się i zaciera ręce. Korzystając z tego zamieszania, skwapliwie pozbawia naród litewski tego, co wywalczył krwawo. Zamknął dwa towarzystwa oświatowe: „Šviesa“ w Maryampolu i „V. Aušra“ w Wilnie. Oświacie litewskiej zadał straszny cios. Nie koniec na tem. Biurokracya tępi wszelką inicyatywę kulturalną w samym jej zarodku środkami, już dawno wypróbowanemi. Najlepsi przedstawiciele kultury litewskiej gniją po prostu w więzieniach, albo konają z głodu na obczy-

źnie, na wygnaniu. Miernoty rej wodzą w narodzie. „Z nimi nam łatwiej się porozumieć“ — powiedział ironicznie pewien wysoki dygnitarz...

„Naród litewski musi odpocząć w cieniu (sic!) naszej możnej opieki po ciężkich zawodach, po smutnych doświadczeniach“ — powiedział jeden z wybitnych „neopolityków“ litewskich. A ten cień, który rzuca fanatyzm polityczny, zaiste straszny jest w działaniu na umysł i na serca. Wytwarza bowiem atmosferę „iście litewskiej“ — narodowej (już nie polskiej, pańskiej) „pańszczyzny duchowej“.

„Narodzie litewski, siedź cicho w „cieniu naszej mądrości — śpij spokojnie, nie pożądaj za wiele światła! My, wodzowie twoi, troszczyć się będziemy o ciebie; swoją zapłatę codzienną otrzymasz! Tylko słuchaj nas bezkrytycznie i spełniaj to, co ci każemy!...“ Naród litewski popadł w jarzmo iście pańszczyźnianej kurateli nietylko myśli i serca, lecz i sumienia. Stopniowo zatraca poczucie godności osobistej. Czujność narodowa tępieje; staje się mniej wrażliwą na sprawy ważne, decydujące, natomiast więcej drażliwą na drobiazgi. Na wielkie krzywdy, prawie codzień doznawane ze strony biurokracyi, reaguje bardzo słabo; natomiast na drobne krzywdy, doznane ze strony „endecyi“ polskiej w Wilnie, reaguje się aż za pośrednictwem oficyalnych i nieoficyalnych organów rosyjskich! Przykładów w tym rodzaju można przytoczyć bez liku.

I nie dziw, że idea narodowo-litewska stała się „prywatnem przedsiębiorstwem“ bloku partyjnego, urabiającego politykę Litwy według swego wcale nie ciekawego „widzimisię“. Naród litewski przestał się „polonizować“ (a jakże!), lecz za to bezwiednie zaczął się rusyfikować kulturalnie. Młoda kultura litewska, zatamowana w swym naturalnym rozwoju przez rząd rosyjski (nie przez Polaków), szuka pokarmu w rosyjskiej kulturze! Ten niebezpieczny proces zależności kulturalnej Litwy od Rosyi trwa już oddawna — dzięki podziwu godnej ignorancyi, i zda się, świadomemu milczeniu wodzów polityki litewskiej. Wymiana kulturna Litwy z Polską — jako jedyna możliwość skutecznego zatamowania niebezpiecznych wpływów kultury rosyjskiej na Litwinów — stopniowo ustaje, więc młodej kulturze litewskiej grozi osobliwego rodzaju „bizantynizacya“. Aby to moje powiedzenie nie wydawało się paradoksem, podaję bardzo wymowne fakty:

Organizacya społeczno-polityczna Litwy wzorowaną jest przeważnie (z małymi wyjątkami) na rosyjskiej. Powstały aż nadto liczne towarzystwa i stowarzyszenia nie po to, aby żyć i rozwijać się, lecz po to tylko, aby wegetować na papierze. Na papierze Litwa posiada wszystkie możliwe organizacye społeczno-kulturalno-polityczne, lecz w życiu prawie nic, bo masy ludowe duchem tych organizacyj nie są przejęte, ich rozwojowi nie sprzyjają. I tak n. p. Litewskie Towarzystwo artystyczne urządziło dwie wystawy sztuki litewskiej po to jedynie, aby się przekonać, że... naród nie ma sił, ani środków do popierania „luksusu artystycznego". Wniosek arcybolesny: utalentowani malarze i rzeźbiarze Litwy muszą ginąć z głodu, albo... wynarodowić się! W teoryi entuzyazm, w praktyce nihilizm. Zupełnie, jak w Rosyi. Sztuka jest dobrą rzeczą, jeżeli narodu nic nie kosztuje! Ideą sztuki można się bawić politycznie, reklamować się, popisywać się, ale żyć?!... Takie jest przekonanie niemal powszechne na Litwie.

Albo drugi fakt. Zawiązało się w niezwykle pompatycznych okolicznościach Litewskie Towarzystwo naukowe, głównie w tym celu, aby „budzić w narodzie zamiłowanie do nauki". Tak jest na papierze. A w praktyce? W praktyce istnieje ono częstokroć po to, aby jej prezes, Dr. Basanowicz, dyskredytował jego szczytne cele, oficyalnie przyjmując udział w polityce, propagowanej przez klikę partyjną. Litewska nauka na usługach polityki partyjnej! — Ładna perspektywa!...

To samo mutatis mutandis można powiedzieć o innych towarzystwach litewskich. Prawie wszystkie te towarzystwa (z wyjątkiem kilku naprawdę pożytecznych, jak np. „Žiburelis") zrodziła nie potrzeba służenia idei narodowej, „wyjętej z serca masy ludowej" (Mickiewicz), lecz pokusa służenia interesowi panującej partyi, gwarantującej synekury t. zw. „weteranom". Niech same fakty argumentują za mnie. Istnieje Litewskie Towarz. artystyczne, a jednak prawie wszyscy artyści litewscy mrą z głodu (fakt autentyczny), bo naród absolutnie ich nie popiera, prac ich wcale nie kupuje! Istnieje Litewskie Towarzystwo naukowe, a jednak pisownia litewska nie utrwala się (przeciwnie, jeszcze więcej się gmatwa), o wydaniu dzieł wielkiej wartości naukowej, będących w rękopisach (np. dzieła biskupa Baranowskiego) nie myśli się, pracy naukowej (w ścisłem tego słowa znaczeniu) nie orga-

nizuje się i t. d. Lecz za to firmy tych Towarzystw częstokroć figurują na „oficyalnych protestach“, ogłaszanych w prasie rosyjskiej! Wewnątz pustka, na zewnątrz pompa. — Po rosyjsku! Ex oriente lux! Towarzystwa litewskie istnieją po to, aby podpisywać... protesty przeciwko Polakom!...

Naród 3-milionowy, który przez 40 lat walczył o wolność druku, dziś, gdy tę wolność uzyskał, nie chce i nie umie utrzymać jednego jedynego dziennika!

Naród 3-milionowy, gwałtownie domagający się oświaty narodowej (ba, nawet uniwersytetu!), nie chce i nie umie wyżywić nauczycieli-Litwinów, którzy są zmuszeni uciekać do Polski albo do Rosyi, żeby w swej ojczyźnie z głodu nie umrzeć!

Naród 3-milionowy, dbający o swoją przyszłość, nie chce i nie umie wychować najlepszej części swej młodzieży — przyszłej chluby narodowej, dziś ginącej z głodu, albo na suchoty umierającej!

Naród 3-milionowy, który tak dba o swój „święty język“, nie chce i nie umie popierać literatury ojczystej (nawiasem mówiąc, będącej pod wpływem literatury rosyjskiej)!

I tak dalej w tym duchu.

Są to fakty zaprawdę przerażające, świadczące o wyczerpaniu się odrodzeniowej energii Litwy, karygodnie zmarnowanej w donkiszotowskich przedsięwzięciach politycznych. Naród litewski istotnie musi „odpocząć w cieniu“, lecz nie po to, aby być „pańszczyźnianą duszą“. Musi odpocząć, aby wydać z siebie lepszych, niźli dzisiejsi, wodzów narodowych....

Skuteczna reakcya przeciwko nieodpowiedzialnym rządom partyi, propagującej „bizantynizm polityczny“, musi wyjść z łona narodu litewskiego; w przeciwnym bowiem razie Litwie grozi niebezpieczny napad kultury rosyjskiej, groźniejszej, niźli osławiona „polonizacya“.

Tę reakcyę zapoczątkuje młodzież litewska, która dopiero dziś, po wielu latach milczenia, budzi się do czynu...

II.

Powiedział ktoś słusznie, że „sentymentalizm jest najgorszym doradcą“. Tę słuszną uwagę prawie dosłownie można zastosować do ruchu narodowo-litewskiego, który się rozwijał i rozwija pod znakiem sentymentu. Romantyczna tkliwość w teoryi, prozaiczne zaś okrucieństwo w czynie realnym — oto dwie kran-

cowości, między któremi wciąż się waha niezrównoważona myśl polityczna odrodzonej Litwy. Choroba sentymentalizmu toczy młody organizm narodowo-litewski, tworząc osobliwego rodzaju manie na tle przeczulenia. Mania tkliwej, łzawej, bezkrytycznej „autoadmiracyi historycznej“ rodzi manię zemsty za krzywdy doznane. Sentymentalizmem upojony Litwin nie znosi, nie cierpi krytyki. „Noli me tangere“ — oto obowiązująca go zasada. Skrytość i nieufność charakteru litewskiego jest podatnym gruntem dla krzewienia się tego rodzaju manij.

Bezkrytyczna, iście dziecinna apoteoza przeszłości historycznej Litwy (mówiąc nawiasem, ciemnej i wciąż jeszcze zagadkowej, bo naukowo skąpo zbadanej) — przeszłości, w duchu sentymentalizmu zrozumianej, ambicyę narodową łechcącej — siłą swej suggestyi, działającej na uczucie, sparaliżowała naturalny rozwój politycznej myśli litewskiej, o której nie bez słuszności powiedzieć można, że jest „niewolnikiem grobu Litwy“. Jeżeli historyczną ekspansyę W. Kniaziów litewskich usprawiedliwiał sam już fakt państwowości litewskiej, to ekspansyi współczesnej myśli politycznej Litwy, odrodzonej w odmiennych warunkach rozwoju, nie liczącej się ani ze smutnym stanem kulturalnym masy ludowej, ani z nędzą ekonomiczną, ani z brakiem potężnej społeczno-politycznej organizacyi, jednoczącej dziś rozprószone elementy ducha narodowego, ani wreszcie z tak ponurym faktem, jak brak wszechstronnie wykształconych (zwłaszcza politycznie) ludzi, godnych miana „reprezentantów ekspansywności litewskiej“, — właśnie tego rodzaju ekspansyi Młodej Litwy nie może usprawiedliwić żadna myśl polityczna, jeno tylko romantyzm uczuciowy, szukający ujścia w czysto teoretycznych produktach przeczulonej myśli. Wytworzył się w narodzie zamęt, chaos skutkiem pomięszania dwóch pojęć: państwowości i narodowości Litwy historycznej (w której skład wchodziły aż cztery narodowości) i Litwy etnograficznej. Błędem polityków litewskich (zwłaszcza z obozu nacyonalistycznego) jest uparta chęć tworzenia Litwy — jako organizmu politycznego — na tradycyach państwowości litewskiej, nie zaś na tradycyach narodowych plemienia litewskiego. Ignorowanie tego bądźcobądź dla współczesnej Litwy wielce przykrego faktu, że naród litewski dla W. Kniaziów Litwy był tylko „materyałem do produkowania władców w stylu wschodniej satrapii“, zamąciło umysł inteligencyi litewskiej. Sama osoba W. Księcia litewskiego (nawet

tak umiłowanego Witowta), który zadeklarował oficyalność ruskiego (nie litewskiego!) języka, jest poważnym ciosem dla doktryny politycznej, usiłującej oprzeć narodowo-litewską ideę na historycznych tradycyach. Naród litewski kręci się w błędnem kole pojęć...

Jedynem racyonalnem wyjściem z tego błędnego koła jest zrozumienie w duchu nowoczesnym tych faktów:

1) Litwini — jako część składowa W. Ks. Litewskiego — skutkiem zależności od oficyalnie państwowym uznanego języka ruskiego oraz tonu, który przewaga żywiołu ruskiego nadawała — narodu (w ścisłem tego słowa znaczeniu) nie tworzyli.

2) W. Kniaziom Litewskim nie zależało tak bardzo na tem, aby żywioł litewski był podstawą państwowości litewskiej; przeciwnie, W. Kniaziom więcej zależało na ruskim wschodzie, niżli na litewskim zachodzie (wszak nawet Witowt marzył o utworzeniu wielkiego państwa ruskiego!).

3) Tradycya państwowości litewskiej jest w osnowie swojej wrogą narodowości litewskiej, która za czasów W. Ks. Litewskiego ulegała po prostu przerażającej rusyfikacyi.

Wnioski, snute z tych faktów, przemawiają tylko za tem, aby Litwini wyzbyli się tego sentymentalnie chorego marzenia o domniemanej swej „potędze państwowej“ w przeszłości — marzenia, kuszącego do niedorzecznej z punktu widzenia nowoczesnej idei demokratycznej polityki ekspansywnej (oczywiście w odmiennym, niżli dawniej, stylu). Przyszłość swego narodu winni budować na tych tylko danych historycznych, które wyrażają ewolucyjną energię plemienia litewskiego! Nie historyczny fakt istnienia państwa litewskiego, lecz fakt historycznego istnienia narodu litewskiego powinien decydować o uprawnieniu Litwinów do wolności politycznej!...

W ten sposób stawiając kwestyę odrodzenia litewskiego, Litwini pozbywają się wielu niebezpiecznych, do zguby wiodących pokus, a zwłaszcza przestają być „państwową areną, na której się ścierają dwie kultury: wschodnia i zachodnia“. Mają możność wolnej deklaracyi praw swoich — słowem, mają wolny od „atmosfery grobowej“ umysł. Działać mogą siłą swej nieskrępowanej, wnętrznej, plemiennej energii — samorzutnie, nie zaś — jak dotąd — li tylko reakcyą na suggestyę zewnętrzną, na ekspansyę dwóch kultur, nierozważnie wyzwanych na pojedynek;

krótko mówiąc, mają wszystkie prawa naturalne rzeki, na nowo poczętej z dawnych, chwilowo zatamowanych źródeł.

Oczywiście aureola „tradycyjnej potęgi państwowej“ (dzisiaj — gdyby rumaki — zaprzężonej do rydwanu partyi nacyonalistycznej) jest wielką pokusą dla tak politycznie niewyrobionego, a więc ambitnego, narodu, jak Litwini; wszelako, mojem zdaniem, lepszą przyszłość narodowi litewskiemu gwarantuje myśl polityczna, nakazująca zacząć pracę od „poczucia swej małości“, niżli chorobliwa doktryna, nakazująca „podziwiać swą wielkość historyczną na tle światowej niesprawiedliwości“. Lepiej być „małym“, ale zdrowym, niżli „wielkim“, lecz chorym na... manię prześladowczą! A mania prześladowcza, niestety, ogarnęła „wielkich“ wodzów odrodzenia narodowego w chwili obecnej. W fatalnem zaślepieniu swojem nie chcą już wiedzieć, ile energii narodowej zmarnotrawili na bezpłodne, bezowocne walki o to, co jest wytworem nie życia społecznego, jeno tylko urojenia, suggestyi. Nie chcą zdawać sobie sprawy z tego, że naród litewski doprowadzili do stanu wyczerpania, do stanu apatyi, dzięki swej „polityce“, bezustannie licytującej „historyczne prawa“ narodu litewskiego z „historycznemi prawami“ Rosyan i Polaków. Duszę narodu ujeżdżając, gdyby rumaka, oni — „rycerze“ — nie przypuszczali nawet, że ta biedna dusza upadnie ze zmęczenia pod ich „rycerskim ciężarem“. „Historycznych praw“ Litwy odrodzonej nie obronili, lecz za to zatracili narodowe prawa Litwinów w chaosie, w dezorganizacyi. Biurokracya ciężką stopą swoją, zbrukaną krwią męczenników o wolność, dławi znękaną pierś narodu, którego wodzowie zaprawdę „nie wiedzieli, co czynią“. Chcieli zbudować „litewski tron“ w obłokach, zapominając o tem, że naród nie ma ani jednej trwałej chałupy na własnej ziemi!...

III.

Jak już zaznaczyłem, naród litewski dziś (jako i dawniej — za czasów W. Księstwa Litewskiego) jest areną, na której się zmagają, ścierają dwie nieprzejednane kultury: zachodnia i wschodnia. Oficyalne zruszczenie Litwy, choćby za czasów Witowta, było faktem rzeczywistym. Unia lubelska zatamowała wprawdzie rusyfikacyjne wpływy Wschodu na Litwę, lecz nie zagwarantowała narodowi litewskiemu samodzielnego rozwoju kulturalnego pod możną opieką państwowości polskiej. Naród

litewski uległ oficyalnej polonizacyi. Litwa etnograficzna i przed i po unii nie miała oblicza narodowego.

Wielkim błędem polityki polskiej za czasów Jagiellonów było podporządkowanie plemiennego indywidualizmu Litwinów, mających prawo do wolnego rozwoju kulturalnego według wzorów zachodnio-europejskich, interesowi oficyalnej kultury polskiej, czyli (jak się dziś mówi) „interesowi polonizacyi kresów“[1]).

Ten błąd historyczny dzisiaj okrutnie się mści na narodzie polskim. Mści się w ten sposób, że potęgująca się niechęć Litwinów do Polaków zagraża kulturalnym interesom Polski na Litwie, a co gorsza, ułatwia rządowi rosyjskiemu kulturalny podbój Litwy drogą oficyalnej oświaty.

Po rozbiorze Polski idea państwowości polskiej przestała obowiązywać Litwę. Wszelako nie przestał obowiązywać Litwy t. zw. „duch kultury zachodniej“, jednoczący oba narody, wystawione na równe niebezpieczeństwo. O tem zwłaszcza Litwini nie powinni zapominać. Odrodzona Litwa przestała być areną rywalizacyi dwóch państwowości (jest łupem państwowości rosyjskiej, jako i Polska), lecz nie przestała być „sferą wpływów“ dwóch wrogich sobie kultur. W tem zwłaszcza spoczywa tragizm odrodzenia narodowego Litwy. O duszę Litwy wciąż się toczy śmiertelny bój dwóch kultur, bo prawem zaangażowanych „kapitałów kulturalnych“ ma do Litwy pretensye i Rosya i Polska. Dziś chodzi o to, pod jakim wpływem ma się rozwijać kultura litewska: Wschodu, czy Zachodu? O tem ma zadecydować sam naród litewski.

---

[1]) Za owych czasów rząd nie zajmował się zgoła sprawami tego rodzaju, bo... nie istniały one dla współczesnych umysłów; z pośród Litwinów zaś nie odezwał się żaden głos poczucia narodowego, Polacy przeto nie mieli sposobności ani tego poczucia popierać, ani mu się przeciwić. Znając ten okres dziejów z własnych studyów, stwierdzam, że nie było ze strony litewskiej żadnej próby do własnego, narodowego rozwoju kulturalnego. Zwracam też uwagę, że sprawy decydujące o rozwoju kultury (n. p. szkolnictwo), nie należały wcale wówczas do kompetencyi rządu — a zresztą W. Księstwo litewskie stanowiło osobne państwo aż do r. 1795, z własnym, osobnym rządem, z osobnemi ministerstwami, z własną armią, własnym skarbem i Litwa była co do swych praw zupełnie niezależną, boć była nawet nie prowincyą autonomiczną, ale — powtarzam — osobnem państwem (bardziej, niż dziś Węgry wobec Austryi). *F. K.*

Litwini wyrzekając się kulturalnego współdziałania z narodem polskim, tamującego ekspanzyę kultury rosyjskiej na zachód, z konieczności narażają się na wpływy Wschodu. Idea państwowości rosyjskiej, umiejętnie operująca czynnikami kultury wschodniej, łatwo może zniszczyć to współdziałanie, jeżeli Litwini, wyprowadzeni w pole obietnicami rządu, gwarantującego Litwie jej w o l n y rozwój kulturalny pod opieką potęgi militarnej, zadeklarują zerwanie ostateczne z narodem polskim. Właśnie o to fatalne „jeżeli" chodzi dziś najbardziej.

Polacy powinni głęboko się nad tem zastanowić i wytężyć wszystkie swe siły, całą swą d o b r ą w o l ę, aby to współdziałanie kulturalne z Litwą zachować i na długie wieki utrwalić. Tracąc bowiem to współdziałanie, tracą swe „kapitały kulturalne" na Litwie na rzecz kultury wschodniej (choćby na rzecz żywiołu białoruskiego). Sam już rozum polityczny dyktuje Polakom wszelkimi sposobami u ł a t w i ć Litwinom stworzenie ich własnej narodowej kultury na wzorach zachodnich. Nakazuje nadto utworzyć u siebie t. zw. „trybunę sądu rozjemczego", której zadaniem byłoby: rozwiązywanie sporu polsko-litewskiego w duchu zgody, obowiązującej oba narody ze względu na wspólne niebezpieczeństwo. Nakazuje jeszcze umiarkowaną, wolną od jątrzenia polityką, pozyskać zaufanie — serc Litwinów, złagodzić żal Litwy do narodu polskiego, dziś szukający ujścia w formie ubliżających „protestów". Sam już fakt trwałej kulturalnej przynależności Litwy do Zachodu, będzie dla narodu polskiego wspaniałą gwarancyą zgody z Litwą... Interes narodu polskiego, dobrze zrozumiany, zyska wiele na przyjaźni Litwy ze względu na chmurną przyszłość...

Rząd rosyjski, romansujący z konstytucyą, suggeruje narodowi litewskiemu szaloną pokusę, mianowicie: dla łatwiejszego pozyskania wszystkich „dobrodziejstw", jakich naród pragnie, poświęcić... braterstwo z narodem polskim (braterstwo w sensie współdziałania kulturalnego). Ta pokusa pozyskała już „sankcyę" na razie tylko pewnej „grupy Litwinów", ciągle się afiszującej w *Wileńskim Wiestniku.* Krwawą glebę Litwy zasiano już ziarnem demoralizacyi. W sercu Litwina, wychowanego w tradycyach Zachodu, budzi się trwoga i niepokój o przyszłość Litwy. I słusznie. Naród litewski stoi wobec alternatywy wyboru: ze Wschodem, czy z Zachodem? Naród k u l t u r a l n i e poczyna się rozdwajać. Fakty tego rozdwojenia można zaobserwować w życiu

społecznem, zwłaszcza w pożyciu młodzieży litewskiej, wychowanej w rosyjskich i zagranicznych uniwersytetach... Perspektywa dla Litwy bardzo smutna.

Poświęcenie idei braterstwa z narodem polskim dla celów egoistycznej polityki narodowej, pokładającej nadzieje w „wolnościowych gwarancyach“ konstytucyjnie przeobrażającego się narodu rosyjskiego, może być dla Litwy w skutkach fatalnem, siłą już samego faktu, że naród litewski traci sprzymierzeńca w walce o wolność, której końca niepodobna przewidzieć. Naród polski zawinił wobec Litwy — niezawodnie — zawinił, lecz odpokutował winy swoje arcyboleśnie! Naród rosyjski ma większe, niźli polski, winy na sumieniu względem Litwy — winy nieodpokutowane! Wybór: który z tych narodów dla Litwy „politycznie milszym“?, który z tych narodów gwarantuje Litwie „wolną przyszłość“? Pokusa niezawodnie wieje ze strony narodu rosyjskiego, który dla celów osobistych może gwarantować Litwinom „wolność“ (w stylu rosyjskim). — Przeciwnie, naród polski, któremu grozi „stan wyjątkowy“ nawet w konstytucyjnem państwie rosyjskiem (rządzonem np. przez ministeryum kadetów), takiej gwarancyi dać nie może! Polityczna „pokusa zysków“ więc po stronie narodu rosyjskiego. „Kto wie — myśli sobie „wielki“ polityk nacyonalizmu litewskiego — kto wie, może parlament rosyjski uchwali... niepodległość Litwy! A Polacy co nam dać mogą? Nic, oprócz... polonizacyi!“...

Sentymentalizm polityczny Litwinów łatwo ulega wpływom, łechcącym ambicyjki. Paniczna obawa „polonizacyi“ rzuca pewne sfery intelligencyi litewskiej w objęcia „konstytucyjnej rusyfikacyi“. Zaiste, dziwny byłby proces: odpolszczenie Litwy kosztem rusyfikacyi! Atoli jestem mocno przekonany, że do tego rodzaju procesu nie dojdzie. Naród litewski — mimo liczne wady — ma jedną zaletę: wiele zdrowego, chłopskiego rozumu.

Wierzę, że w narodzie litewskim przemówi żywo świadomość polityczna, że odrodzonej Litwie grozi większe niebezpieczeństwo „wynarodowienia“ ze strony choćby naprawdę konstytucyjnej Rosyi, niźli ze strony narodu polskiego, postawionego w „stan wyjątkowy“. A to niebezpieczeństwo tem większe, im większy będzie wpływ kultury rosyjskiej na umysłowość litewską.

Polityka nacyonalizmu litewskiego prowadzi do bankructwa, metoda bowiem, jaką się posługuje, jest zgubna. Czesi straszyli Niemców Rosyą, Rusini straszą Polaków Niemcami; Litwini-

naśladując i Czechów i Rusinów, straszą Polaków już nie oficyalną, lecz „wolnościową“ (na papierze idealnie istniejącą) Rosyą (świadczy o tem choćby protest ogłoszony w *Rieczi*). Czy tego rodzaju „straszaki“ ułatwią Litwie zwycięstwo w walce z „endecyą“ polską, o tem trzeba poważnie wątpić. W tumanie kurzu człowiek ślepnie, wśród hałasu — głuchnie. Ślepi i głusi przewodzić nie mogą, więc idą „spać“.

Od wpływów kultury wschodniej Litwę uratować może tylko Polska drogą (jak już powiedziałem) współdziałania kulturalnego. Przez Polskę Litwa zachowuje związek z Zachodem. Nie jest to paradoks, lecz fakt, który już sama historya Litwy potwierdza. Bez odnowionego przymierza z Polską w duchu idei demokratycznej, Litwa nie może marzyć o niepodległości. Żywioł słowiańsko-germański zaleje ją w ponurej przyszłości, która nawet potężnym narodom grozi katastrofą. Tylko kosztem zależności kulturalnej od Rosyi Litwa będzie mogła, zrywając z Polską, pozyskać coś w rodzaju autonomii!...

Los postawił Litwinom tragiczną alternatywę: Wschód, albo Zachód? Wybierajcie!

Droga na Zachód prowadzi przez Polskę (chyba nie przez Niemcy?!) — to znaczy przez odnowienie przymierza w myśl hasła: „Za waszą i naszą wolność“.

Droga na Wschód prowadzi prosto...

Tę tragiczną alternatywę wyboru czuje garstka najkulturalniejszej inteligencyi litewskiej, która stanowi przeciwwagę bezwiednemu ciążeniu większej części inteligencyi litewskiej ku Wschodowi. Czuje tę alternatywę, lecz nie posiada jeszcze takiej świadomości, aby módz politycznie w tym duchu działać.

Rzucam więc tę garść myśli z wiarą, że spełniam obowiązek Litwina, świadomego celu, który mu przekazała męczeńska przeszłość narodu litewskiego.

Wolnością Litwy, zdybytą kosztem „kopnięcia nogą“ Polski, gardzę!...

Litwa bowiem nie może być z czystem sumieniem wolną, jeżeli naród polski będzie niewolny.

Litewski i polski naród łączy wspólna kara, wspólne cierpienie i wspólne... wyzwolenie!...

O tem powie przyszłość...

Józef A. Herbaczewski.

Rzym, 21 stycznia 1909

DRAGUTIN INCHIOSTRI.

Pod tytułem „Artysta z Dalmacyi“ ogłasza znany włoski historyk sztuki Alfred Melani w czasopiśmie *L'arte decorativa moderna* szkic o bardzo uzdolnionym, a mało jeszcze znanym artyście Dragutinie Inchiostrim, Chorwacie z Dalmacyi, ze Spljeta rodem, obecnie zaś od lat kilku mieszkającym w Belgradzie. Malarz to dekoracyjny, mistrz w swoim rodzaju zarówno w technice, jak i w pełnej poezyi i oryginalności kompozycyi. Prawdziwy to „rewolucyonista“ w tej gałęzi malarstwa południowo-słowiańskiego, wprowadzający szczęśliwie do malarstwa dekoracyjnego rodzime chorwacko-serbskie motywy, stwarzając w ten sposób oryginalną swojską sztukę dekoracyjną. Chorwaci i Serbowie sami jeszcze niestety nie umieją dostatecznie ocenić tego młodego nowatora. Prace Inchiostriego możemy oglądać w Belgradzie po różnych ministerstwach tylko (jak finansów, wyznań i oświaty etc.), lub w innych publicznych gmachach, prywatni ludzie bowiem nie doszli jeszcze do tego kulturalnego rozwoju, któryby im pozwolił i kazał sztukę i piękno rzeczywiste wprowadzić do swych domów.

Artykuł Melaniego zwraca na siebie uwagę szczerem uwielbieniem dla artysty, przy całej powadze krytyki, jakoteż ciepłem serdecznem, z jakiem wyraża się wogóle o sztuce i kulturze słowiańskiej. Ze względu więc na ten ton artykułu, jak i na jego wartość fachową, pozwolimy sobie przytoczyć tu kilka ustępów z rozprawki uczonego Włocha, bardzo charakterystycznych dla poznania stosunku sztuki dalmackiej do włoskiej.

„Dalmacya — pisze Melani — adryatyckie pomorze, posiadała i posiada swoich artystów. Włoch, myśląc o tej krainie, w której Austrya gospodarzy, z zachwytem podziwia dzieła, jakie stworzyli dwaj znakomici artyści: Juraj Orsini z Šibenika, następca wenecyańskiego Bona, twórca świetnych prac w Jakinie, i — Lukijan Delaurana, znakomity architekt na dworze książąt w Urbino, źródło subtelnych piękności, na których się karmił jeden z mistrzów klasycznej architektury: Donato Bramante. I Dubrownik na tem Pomorzu ujrzał w XV w. swój „książęcy dwór“ — współczesny dziełom Orsiniego i Delaurany — jako jeden wielki rapsod klasycznej sztuki, dzieło rąk Florentczyka, Michelozza Michelozziego. I wenecka szkoła, czyli

włoska sztuka zapanowała w Dalmacyi po grodach i wyspach, jak Omiš, Rab, Kotor, Korčula, Hvar, Šibenik, Spljet, Trogir, Vrana, Zadar, gdzie współzawodniczą ze sobą tacy wybitni artyści, jak Michele Sanichelli (loża na Hvarze); twórcy mało znani w Italii (prócz Michelozziego), jak Paweł Andreoli z Genewy, twórca katedralnego kościoła w Dubrowniku (1705—15) i zdradzają w pojęciach i uczuciach artystycznych pewną zgodność, której czas nie zatarł.

„Dalmacya więcej przyjęła, niż dała form artystycznych; ale synowie tej szlachetnej krainy, a szczególnie mamy na myśli Orsiniego i Delauranę, mają szczególną łatwość w przystosowywaniu się do tła. Orsini przybywa do Wenecyi i napawa się grecko-klasyczną twórczością Bona; — Delaurana, wrażliwy na włoską klasyczność, przenosi ją za morze i szerzy i wznosi jej pomnik, którym jest narodowa sława. Dalmacya nie zamyka uszu przed dziełami, które przemawiają do niej w obcym języku, przed dziełami, które zdobią jej grody; wenecki geniusz, jak wspomniałem, przeleciał na drugie adryatyckie pobrzeże i długo się tam zatrzymał. I gdyby była Dalmacya stroniła od wszystkich tych piękności obcego pochodzenia, byłaby była musiała zadowolić się bardzo skromnem miejscem przy biesiadzie artystycznego piękna.

„Zdaje mi się, że tradycyonalna wzajemność w zakresie sztuki nie przerwana dotychczas; Dalmatyńcy chętnie podróżują i po świecie się osiedlają. Dragutin Inchiostri, dekoracyjny malarz z Dalmacyi, rodem ze Spljeta (Spalato), a obecnie żyjący w Belgradzie, usiłuje dzisiaj dowieść trwałości tego wzajemnego stosunku, czyli miłości synów Dalmacyi do piękna. Zagłębiony w sztuce, łatwo dostosowujący się, jak i jego poprzednicy, Orsini i Delaurana, przecież daleki jest od tego, aby do ziemi, którą wybrał dla swej pracy, wnosić obce elementy artystyczne, lecz przynosi jej sztukę, która wypływa z własnych tej ziemi tradycyj, zachowanych w świątyni ludowych piękności.

„Ten modernistyczny pomysł pociąga ku sobie wszystkie moje sympatye. Zawsze walczyłem przeciw kosmopolitycznej sztuce; neoklasycyzm, który od początku minionego stulecia zalał cały nowy i stary świat, oznacza najbłędniejszą zasadę, jakiej kiedykolwiek sztuka ulegała. Dlatego dzisiaj artysta, który porzuca rodzime miejsce i odchodzi w krainę, gdzie nowoczesne piękno w zaczątku dopiero, idzie z trudnem zadaniem w duszy, by i w tej ziemi rozwinąć sztukę, jaka jej się należy, — taki artysta pociąga

mnie ogromnie ku sobie i jakiekolwiek są dotychczasowe rezultaty jego pracy, ja tę myśl uważam za dziecię natchnionego rozumu, godne najlepszego szczęścia.

„Inchiostri, którego życie może posłużyć jako przykład męczennej walki o byt i jako przykład wytrwałości zwróconej ku najszlachetniejszemu celowi, — pisze mi z Belgradu tak mniej więcej: „Etnografia tego wielkiego narodu, który liczy miliony mieszkańców (w Serbii, Chorwacyi, Slowenii, Bośni, Hercegowinie, Dalmacyi, Czarnogórzu i Macedonii) ogromnie jest bogata i przedstawia olbrzymie pole, cudowne muzeum jeszcze nie zbadanych piękności, które się żywo odznaczają właściwemi sobie liniami i formami, azyatyckiego pochodzenia, — czarownie spojonych z narodowem życiem społeczeństwa; wszystko to leży nieznane większej części słowiańskich narodów, ale nie obcym, którzy widzą ich piękno i materyał wyzyskują, jako oryginalny wytwór swojej rasy, jako kwiat swej ziemi“.

Nie uderza-li on tu na Madiarów? — zadaje sobie dalej Melani charakterystyczne pytanie.

„Zdaje mi się, i przeglądając fotografie, które mi Inchiostri łaskawie przysłał, przypominam sobie rzeczywiście Madiarów i madiarską ornamentykę, tureckiego pochodzenia; czuję się poruszony, jakbym był na drodze odkrycia jakiejś prawdy.“

Jasnem jest, że dalmacki artysta studyować musiał owe ziemie, które nakarmić miały jego ducha. Toteż widzimy Inchiostriego, jak od wsi do wsi obchodzi całą Chorwacyę, Slawonię, Bośnę, Hercegowinę, Czarnogórę; widzimy, jak z jednego końca Serbii biegnie na drugi i po chatach i kolebach wieśniaczych i pasterskich przeszukuje skarby piękna, z zachwytem unosząc się nad rzeźbą w drzewie, nad ozdobnemi tkaninami, wyszywaniami, nad przecudnymi pomysłami w rzeźbie na metalu, w zdobieniu broni; widzimy go, jak spieszy do Macedonii, uradowany, gdy jedną linię odnajdzie, jedną formę, jeden motyw nowy, w czem odnajduje odbłysk duchowych właściwości ludu, który bada, — ludu ciekawego i wrażliwego, co żyje na półwyspie bałkańskim pomiędzy Madiarami, Rumunią, Bułgaryą i Turcyą.

„Zebrany materyał nie śmie służyć dalmackiemu artyście tak, jak młodym zmanierowanym w szkołach malarzom służą stosy fotografii, zebranych po bibliotekach; ten materyał wskazuje, jak naród, który on bada, tłumaczył sobie przyrodę, która się doń uśmiechnęła w poszumie lasów i połonin tych ziemi. To tłuma-

czenie, lub — powiedzmy — takie stylizowanie stanowi autorytet naszemu artyście; albowiem on, aby należycie przeniknął ducha owego narodu, musi i na przyrodę i na miejscowe stosunki patrzeć tym samym duchem, który się z jego sztuką rodził.

„Zadanie trudne i dwustronne: znaleźć w przyrodzie formę, która jest w prymitywnem stylizowaniu wykonana na drzewie, tkaninie, żelazie i jako oryginalny twórca tajemnej idei pośredniczyć między temi dwiema formami, między naturalną i stylizowaną.“

I tak dalej rozwodzi się bardzo szczegółowo włoski znawca sztuki nad właściwościami i ideą twórczości Inchiostriego. Kończy zaś artykuł pełen cennych pochwał dla malarza chorwackiego, nadziejnemi słowy, iż twórczość jego odkryje sztuce południowo-słowiańskiej nowe światy i pozwoli jej w sobie skrystalizować nieuchwytną syntezę narodowego ducha, o ile ona w artystycznych formach objawić i pojąć się da.

T. S. Grabowski.

BUŁGARYA NIEZAWISŁA.

I.

W Tirnowie, starej stolicy bułgarskiej, ogłosił książę Ferdynand niezawisłość swego królestwa. Dzień 5 października 1908 stanowić ma w historyi Bułgaryi tę datę pamiętną, początek epoki. Nowy car, przyjęty przez kler i archimandrytę w cerkwi czterdziestu męczenników, odczytał manifest do ludu i przyjął życzenia przewodniczącego sobrania i premiera ministrów.

Marzenie najambitniejszego z Koburgów zostało spełnione. Ten suweren był tyle razy o włos od korony, bez możności uchwycenia jej, że przypominał mimowoli myt o Tantalu i winogronach. Tak niezliczone były podróże księcia po dworach mocarstw, a każdej prawie towarzyszyła w prasie rubryka tej treści: „Książę Ferdynand poczynić ma odpowiedne kroki o koronę“.

W rezultacie odpowiednie kroki okazały się znowu nieodpowiednimi. Czekano następnych. Wreszcie „kroki“ rozległy się skutecznie, tryumfalnie nawet, tym razem w zamku budapeszteńskim; ks. Ferdynand wyszedł z niego carem.

Gra ukartowana była zręcznie i miała wszelkie szanse wygranej. Nie od rzeczy jest przypomnieć główne jej perypetye.

Baron Aehrenthal w swem exposé z 8 października wspomniał niedwuznacznie, że głównym powodem bułgarskiego coup d'état był wypadek dyplomatyczny zaszły w Konstantynopolu. Jakkolwiek wypadek nie był pierwszorzednego znaczenia, posłużył on jako znakomity pretekst.

Zajście, którego odpowiedzialność spada w pierwszym rzędzie na Tewtik-paszę, ministra spraw zewnętrznych, było tą komedyową „szklanką wody“, sprowadzającą katastrofę. W następstwie tego miodowy miesiąc konstytucyi tureckiej przerwany został w sposób przykry.

Nikt w Turcyi w sferach politycznych nie mógł się łudzić co do ścisłości węzłów łączących Bułgaryę z organizmem państwowym ottomańskim. Bułgarskiej agencyi książęcej w Konstantynopolu od lat jedenastu przyznano już charakter dyplomatyczny. Zwyczaj stawiania przedstawiciela Bułgaryi między pierwszymi dragomanami Wysokiej Porty, a nie w gronie ambasadorów, zerwany został już przez Markowa w sposób wykluczający wszelką wątpliwość. Markow akredytowany został nie u Porty, jak dotychczas, lecz u sułtana, a agencya „książęca“ przybrała oficyalny tytuł agencyi „dyplomatycznej“.

Z okazyi zaślubin Kiamil-paszy z córką sułtana Naime odbyć się miał obiad dyplomatyczny w Yildiżkiosku, na który zaproszono po pięć osób z każdego kraju. Markow otrzymał skutkiem starań zaproszenie, ale polecono mu zająć miejsce między dwoma synami sułtana, a nie przy stole dyplomatycznym. Wobec tego Markow odmówił stanowczo, przekładając raczej nie brać udziału w obiedzie. Jako przedstawiciel naczelnika państwa, musiał zaprotestować przeciw wyłączeniu siebie z rzędu dyplomatów. Kwestya zakończyła się więc wówczas faktycznem uznaniem misyi dyplomatycznej; jej szef zajął miejsce na obiedzie pomiędzy reprezentantami dwóch państw niepodległych: Serbii i Czarnogóry.

Jednak z nastaniem nawej epoki dążenia nacyonalistyczne zaznaczyły się w sferach oficyalnych niedwuznacznie. Ku niezwykłemu oburzeniu Bułgaryi Tewtik-pasza w jednej ze swoich not ubrał nazwisko agenta dyplomatycznego Geszowa w tytuł „Kapu-Sziatudasi“, oznaczający agenta księstwa w stosunku wasala.

Mimo młodotureckich tendencyi szowinistycznych część prasy poparła krok rządowy. *Yeni Gazeta* powołała się na traktat berliński, przyznający Turcyi prawo suwerena nad Bułgaryą.

Tewtik-pasza źle się przysłużył swojemu krajowi. Jestto jeden z polityków, którego nowy regime w Turcyi powinien był trzymać zdala od wszystkich funkcyi politycznych. Jego gorliwość w obrażeniu państwa, którego przyjaźń stała się niezbędną, nie mogła byś mniej niewygodną — pisze jeden z publicystów młodotureckich, O. W. Szefki. Właśnie w tym braku taktu i dyskrecyi, z jakim odmówił od początku uznania prawa etykiety dyplomatycznej, tak elementarnej i słusznej, trzeba szukać źródła zawikłań.

Niezaproszenie Geszowa na obiad dyplomatyczny pod pozorem, że nie jest reprezentantem państwa, było krokiem z góry obmyślanym a niepolitycznym w stopniu tak wysokim, że część prasy rosyjskiej i angielskiej przypisała jego ojcostwo ...ambasadorowi Niemiec, niezadowolonych ze zmiany porządku starego, tak korzystnego dla interesów niemieckich.

Geszow opuścił Konstantynopol, pozostawiając jednak swego chargé d' affaires w agencyi bułgarskiej. Jeśli według zdania samych Bułgarów rząd mógł wyminąć wypadek Geszowa z Tewtikiem paszą, ofiarując Geszowowi krótki urlop,[1]) to kwestya kolei rumelijskich zaciążyła groźnie nad stosunkiem turecko bułgarskim. Położono ręce na linii kolejowej tureckiej przebiegającej Rumelię Wschodnią na przestrzeni 150 klm. Już podczas pobytu pary książęcej w Budapeszcie funkcyonaryusze kolei wschodnich urządzili strajk. Rząd bułgarski natychmiast wziął w posiadanie linię rumelijską, eksploatowaną przez kompanię i nakazał utrzymanie ruchu kompanii pionierów. Po skończeniu strajku odmówił zwrotu linii, tłómacząc, że nakazuje mu to bezpieczeńswo państwa, które nie może się pozbawić tak koniecznych dla życia narodowego urządzeń, nadużywanych przez koncesyonowaną kompanię. Mimo protestu Turcyi, właścicielki kolei, linia, w rzeczywistości z punktu widzenia strategicznego nader ważna, pozostała w posiadaniu Bułgaryi. W Rumelii urządzano natomiast liczne manifestacye przeciw zwrotowi zabranej kolei.

Już podczas tego przesilenia uważano, że opinia Austro-Węgier była wyraźnie po stronie Bułgaryi, mimo że kompania kolejowa ma siedzibę we Wiedniu. Gabinet wiedeński ograniczył się do czysto formalnych reklamacyi, podczas gdy Anglia usiłowała z naciskiem uchronić rząd turecki od porażki.

---

[1]) Kovacew — w *Courr. Europeen* z 25 września 1908.

Tymczasem ks. Ferdynand i ks. Eleonora byli w Budapeszcie przedmiotem niespodzianych owacyi. Dnia 24 września przyjął ich na dworcu arcyksiążę Józef z arcyks. Augustą, tudzież władze stolicy węgierskiej. Wielki obiad galowy na cześć pary bułgarskiej wywołał liczne komentarze. Cesarz austro-węgierski wygłosił toast, w którym Bułgarya stawiona była na równej stopie z monarchią.

Przypuszczenie, że jestto lekcyą dla rządu tureckiego i świadectwem dobrych stosunków obu krajów, miało okazać się dla Europy smutną iluzyą. Już w ostatnich dniach września agent dyplomatyczny Bułgaryi w Londynie, Minčavić, oświadczył w interwiewie, że przyszedł czas ogłoszenia niezawisłości. Agent został ukarany za wielomowność natychmiastowem odwołaniem, mimo, że wyrażał aż nadto dobrze myśl swego rządu.

Dnia 3 października cesarz Franciszek Józef I zawiadomił własnoręcznym pismem mocarstwa o anneksyi Bośny i Hercegowiny; tegoż samego dnia ks. Ferdynand przybył do Bukaresztu, gdzie przyjął go rumuński minister wojny, następnie udał się do Ruszczuka, skąd po naradzie z ministrami, przybyłymi potajemnie z Zofii, wyjechał do Tirnowa.

Dnia 6 października nastąpiło ogłoszenie niezawisłości Bułgaryi i przybranie tytułu cara.

II.

Proklamacya, jak wiele dokumentów bułgarskich, zaczyna się klasyczną formułką wdzięczności dla „cara oswobodziciela"; nikt nie myśli czynić jej zarzutu hipokryzyi. Umieszczono ją tem chętniej, że w akcie z 5 października jest ona nekrologiem, czy prośbą o pobożne westchnienie za zmarłą hegemonią rosyjską w Bułgaryi.

„Stosownie do woli naszego oswobodziciela, którego pamięć nigdy nie wygaśnie i wielkiego narodu rosyjskiego, z którym łączą nas węzły pokrewieństwa, z pomocą naszych dobrych przyjaciół i sąsiadów, poddanych króla Rumunii, jak również z pomocą bohaterów bułgarskich, dnia 18 lutego 1878 r. zerwano okowy, wiążące od tylu wieków Bułgaryę, niegdyś wielką i potężną. Od tej epoki aż do dziś dnia, podczas 30 lat, naród bułgarski chowając pamięć tych, którzy pracowali dla sprawy wolności i przejmując się ich tradycyą, pracował sam bez przerwy nad zapewnieniem postępu swemu pięknemu krajowi i pod mo-

jem panowaniem i zmarłego ks. Aleksandra stał się ludem, który może zająć miejsce równe w rodzinie ludów cywilizowanych i uczestniczyć w korzyściach postępu umysłowego i gospodarczego. Na tej drodze nic nie powinno powstrzymywać postępu Bułgaryi, ani przeszkadzać jej powodzeniu. Takiem jest pragnienie narodu, taką jest jego wola. Niech się ta wola dokona. Naród bułgarski i jego naczelnik mogą mieć tylko jedno uczucie, jedno pragnienie.

„Faktycznie niezawisły naród był wstrzymywany w swoim rozwoju normalnym przez pewne iluzye i ograniczenia formalne, których rezultatem był chłód stosunków między Turcyą a Bułgaryą. Turcya i Bułgarya, wolne i zupełnie niezawisłe jedna od drugiej, mogą istnieć w warunkach, które pozwolą im wzmocnić przyjazne stosunki obopólne i poświęcić się pokojowemu rozwojowi na wewnątrz.

„Natchniony świętym celem zadośćuczynienia żądaniom narodowym i stosowania się do pragnień narodowych ogłaszam z błogosławieństwem Wszechmocnego Bułgaryę zjednoczoną od 6 września 1885 r., królestwem niezawisłem.“

Nikt nie może zaprzeczać narodowi, który złożył dowody wybitnej pracy cywilizacyjnej i postępu, prawa do samoistności. Nie przeszkadza to wszakże, że proklamacya jest hypokryzyą, mimo odwołania się do błogosławieństwa Wszechmocnego. Mógłby kto pomyśleć, że ks. Ferdynand, pragnąc dodać ciepła stosunkowi Bułgaryi do Turcyi, pozbawił ją prowincyi i to właśnie w chwili, gdy akt podobny narażał konstytucyę na zgubę, a partyę młodo-turecką na zmycie z powierzchni politycznej przez falę reakcyi; zdawaćby się też mogło z proklamacyi, że Wszechmocny jest agentem politycznym bułgarskim.

Turcya nie była tego zdania i wystosowała natychmiast do mocarstw podpisujących traktat berliński, następujący protest:

„Dowiedzieliśmy się z uczuciem głębokiego zdumienia, uczuciem, które zapewne podzielają wielkie mocarstwa, że książę Bułgaryi ogłosił w Tirnowie niepodległość księstwa i podniesienie go do rzędu królestwa. Wysłał on nawet do J. C. Mości sułtana telegram, wyłuszczający główne motywy tego postanowienia. Niespodziany czyn księcia, gwałcący traktat berliński, nie opiera się na żadnym fakcie, mogącym go usprawiedliwić. Skreślając zobowiązania tego traktatu, rząd książęcy dał przykład demonstracyjny pogardy dla prawa międzynarodowego i braku

względów dla rad mocarstw. Wobec tego rząd ottomański, jako podpisujący powyższy traktat i inne odnośne akty, w imieniu J. C. M. sułtana, suzerena Bułgaryi i suwerena Rumelii wschodniej, wszelkiemi siłami występuje przeciw zachowaniu się ks. Ferdynanda i apeluje do mocarstw traktatu berlińskiego o dyspozycye co do zebrania konferencyi dla zbadania warunków przywrócenia porządku legalnego w Bułgaryi i Rumelii wschodniej, tudzież utrzymania interesów zagwarantowanych Turcyi przez traktaty międzynarodowe. Rząd ottomański mógłby uciec się do siły, aby zapewnić poszanowanie swych praw, które nie mogą przedawnić się bez jego zgody. Lecz szanując przedewszystkiem traktaty, dbały o interesy ogólne, chciałby uniknąć podobnej ostateczności: oddaje więc sprawę mocarstwom i oczekuje ze spokojem ich decyzyi."

Tyle uczyniono dla uratowania honoru.

Z drugiej strony partya rządzącą wiedziała dobrze, że z dwojga złego: ratowania odpadających części, złączonych zresztą węzłem problematycznym, a — ryzyka powrotu reakcyi, — należy wybrać mniejsze.

Cios podwójny wymierzony ledwo powstającemu porządkowi konstytucyjnemu, przyjęli młodoturcy z zimną krwią, która zdumiała Europę, spodziewającą się wybuchu fanatyzmu, jak zawsze strony interesowane zowią wstrząśnienia patryotyzmu.

Niepodległość Bułgaryi musiała przyjść wcześniej czy później — rozumowali trzeźwi politycy młodej Turcyi. Wojna pozbawiła nas już raz, lat temu trzydzieści, konstytucyi. Dziś wojna, przegrana czy zwycięska, zadałaby cios śmiertelny dziełu, któreśmy stworzyli po tylu latach ofiar, wysiłków i nieszczęść, spowodowanych przez anarchię Abdul-Hamida. Dać się wciągnąć w awantury batalii, byłoby to wpaść w pułapkę reakcyi; dwa korpusy armii, na których spoczywa olbrzymi ciężar podtrzymania systemu reprezentacyjnego i reform mających odrodzić państwo ottomańskie, rzuconoby pierwsze na plac boju. Za ich plecami odżyłaby dawna hydra despotyzmu i korrupcyi, której zawdzięczamy stratę tylu prowincyj w ciągu jednego panowania. Nasz honor narodowy ratuje na razie zupełnie wystarczająco protest oficyalny i żądanie zgody mocarstw podpisujących traktat berliński.

Wywód jest niezmiernie logiczny; Turcya dawniejsza, nie-

zorganizowana, nieprzetworzona politycznie i ekonomicznie, nie może odnosić żadnych korzyści.

Turecka polityka ekonomiczna i kwestya macedońska wymagają, aby stosunki z Bułgaryą pozbawione były wszelkiej dwuznaczności — twierdzi jeden z publicystów młodotureckich Zerwijmy z fałszywym wstydem i głupią pogardą; tylko rzeczywistość musi być wytyczną naszej polityki. Zachowajmy naszą nieufność do stosunków z wielkiemi mocarstwami, jak Austro-Węgry i Niemcy, które dały miarę swojej szczerości. Podczas gdy niektórzy ze zbyt nieświadomych naczelników naszego komitetu „J e d n o ś c i i P o s t ę p u“ nakazali prasie absolutne milczenie w kwestyi Bośny i Hercegowiny, w Budapeszcie i Berlinie przygotowano proklamacyę oficyalną anneksyi, aktu niezmiernie ważnego. Tracimy definitywnie 600.000 mahometan, co jest p r a w d z i w e m okrojeniem naszego państwa, a Serbowie ze swej strony tracą 700.000 swoich. Widać natychmiast, jaki będzie w polityce bałkańskiej przedmiot zaciętych nienawiści.

Mimo niechęci do wojny ze strony Turcyi, przeciwnicy czynili dalej ową *faccia feroce*. Jeszcze mowa tronowa przy otwarciu parlamentu tureckiego zawiera przykry dla Bułgaryi passus:

„W chwili, gdy nowy gabinet pod przewodnictwem K i a m i l-paszy był zajęty organizacyą nowego porządku rządzenia, książe Ferdynand bułgarski, wali Rumelii wschodniej, odrzucił niespodzianie zwierzchność naszego mocarstwa i ogłosił swą niezależność“.

Chodziło już jednak tylko o targ na indemnizacyę.

Z początku Bułgarya przybrała pozycyę nieprzejednaną, odmawiając Turcyi uparcie wszelkich kompensacyi. Rząd bułgarski zachował się odpornie przeciw osiągnięciu zgody Porty przed układami z kompanią kolei wschodnich i przeciw indemnizacyi. Wojska bułgarskie skoncentrowano w znacznych ilościach na granicy tureckiej. Nie płaciliśmy im jako księstwo lenne, nie będziemy płacić po uzyskaniu niepodległości — mówiła Bułgarya. Jej głos byt tem silniejszy, ile skarb pustszy, po ogromnych ofiarach na budżet ministerstwa wojny.

Konflikt turecko-bułgarski wszedł na drogę porozumienia, nie bez znacznych ofiar ekonomicznych ze strony Bułgaryi, spowodowanych perspektywą wojny. Za wpływem mocarstw (nota francusko-angielsko-rosyjska z 26 października, poparta przez

Niemcy i Włochy) ugodę preliminarną podpisano 29 październi-ka i zaczęto negocyacye w Konstantynopolu.

Dzięki interwencyi rosyjskiej groźba wojny została usuniętą. Po 27 stycznia, po wyjaśnieniach gen. Paprikowa w sobraniu bułgarskiem i nocie doręczonej przez Bułgaryę mocarstwom, Porta zdecydowała się zawiadomić oficyalnie, że nie myśli żądać kompensacyi terytoryalnych. Bułgarya ze swej strony zgodziła się na indemnizacyę. Chodziło tylko o wysokość sumy.

Rosya postawiła Turcyi propozycyę następującą co do indemnizacyi: Rosya gotowa jest potrącić odpowiednią sumę z należnego jej odszkodowania na mocy konwencyi z 14 maja 1882, aby wypełnić sumę 125 milionów, żądanych przez Turcyę od Bułgaryi. Bułgarya zwrócić ma Rosyi 85 milionów w ratach rocznych po 5 milionów.

Propozycya ta, w zasadzie już przyjęta przez Turcyę i nowy rząd Hilmi-paszy, ma podnieść rolę i znaczenie Rosyi na Bałkanie. Niestety, znaczenie to od wykrycia prawdziwej Rosyi przed oczyma południowych Słowian, spadło obecnie do poziomu niskiego. Upokorzenie w Bułgaryi, w Serbii mityngi wyrażające oburzenie dyplomacyi rosyjskiej, oto skutki, które równają się przegranej kampanii. Ale minister Izwolskij, krytykowany tak śmiało, poniósł tylko konsekwencye układów swoich poprzedników: ks. Gorczakowa i jego wspólników, którzy zrzekli się praw protekcyi nad Słowianami Bośny i Hercegowiny. Układy te, dotąd mało znane, zmusiły Rosyę do ograniczenia swego wystąpienia w sposób zbyt wymowny, żeby jej prestige na Bałkanie nie poniósł stanowczej klęski.

Rosya chce odzyskać napowrót „swych Bułgarów“.

W tym czwartym akcie dramatu czy komedyi p. t. „les deux legateurs,[1]) gdzie upadająca Turcya postanowiła szukać ratunku sama w sobie, Bułgarya była bez wątpnienia statystą Austro-Węgier, przeznaczonym do lepszego pokrycia operacyi aneksyjnej.

Akt skończył się wśród ogólnego hałasu: skargi Turków, wybuchu gniewu Anglii, która teraz widzi w sułtanie konstytucyjnym reprezentanta wszystkich cnót parlamentarnych i obrońcę wszystkich interesów bałkańskich, krzyku Romanowów, którzy nie

---

[1]) p. Victor Berard: Cinqième acte, *Correspondent* 10 lutego 1909.

chcą, aby im brano ich Bułgarów, ani by nie annektowano, gdy oni nie annektują, krzyku Włoch, które podzielają co do anneksyi uczucia Romanowów.

III.

Proklamacya z 6 października zawiera momenta hipokryzyi nietylko względem Turcyi. W aktach podobnych zwykle ofiaruje się tego rodzaju dary stronie, której się coś zabiera. Proklamacya twierdzi, że świętym celem suwerena jest iść za wolą narodu. Zdaje się, że „mniejszy car“ po raz pierwszy przypomniał sobie wolę narodu ad usum swojej ambicyi. Dotychczas oglądanie się na nią nie leżało nigdy w zamiarach wnuka Ludwika Filipa, a i ostatni akt był tylko osobistym; szerokie masy narodu brały w nim udział bardzo nieznaczny.

Jeźli w wiedeńskiem Variété Ronachera ks. Ferdynand Koburg wybrany został na księcia Bułgaryi, to jakby przez ironię zgotował on swemu krajowi niejeden coup de théâtre, niejedną niespodziankę polityczną wątpliwej wartości.

Nie najmniejszą z nich był fakt, że panowanie ks. Ferdynanda idzie w parze z absolutyzmem maskowanym konstytucyą, z ciągłą presyą rządową, ze zdemoralizowaniem opinii publicznej.

Każdy rząd bułgarski ma zawsze większość — oto zasada polityczna, niepozbawiona praktycznej doniosłości.

Kiedy rząd stambułowistów był u steru od czasów przesilenia macedońskiego, partya stambułowistów w sobraniu miała 132 członków na 189 deputowanych.

Ale gdy znów bon plaisir księcia wyniósł do władzy gabinet demokratyczny Malinowa-Paprikowa, wybory z 25 maja 1908 przyniosły stambułowistom 0 (zero) mandatów, demokratom 168 mandatów.

W ten sposób rządzi się łatwo i bez obstrukcyi; czasem tylko skandal korrupcyjny przerwie sielankę parlamentu.

Wola narodu, to jest księcia deveta briga (dziewiąta troska), jak mówią w Serbii. Kandydatów zaś do tek ministeryalnych i urzędów można dostać bardzo tanio w Bułgaryi. Widziałem ich podczas mego pobytu w Sofii codzień kilkudziesięciu w Café Makedonja.

Zadowolenie ambicyi, dążność wyjścia za każdą cenę z rzędu władców siedzących na szarym końcu europejskiego stołu panu-

jących, oto była pierwsza wytyczna drogi ks. Koburga; szedł po niej wytrwale, bezwzględnie, pomimo bezwzględnej niepopularności w kraju, z którym nie łączyła go tradycya ani uczucie. Jako narzędzie, rozwinął on, głównie z pomocą Stambułowa armię utrzymywaną przeciążeniem finansowem państwa.

Obecnie przedsięwziął krok stanowczy.

Traktaty umierają śmiercią naturalną, lub nagłą.

Jeżeli ks. Ferdynand razem z Austryą przyspieszył zgon traktatowi berlińskiemu, należy się zapytać o korzyści realne tego kroku. Nigdy żaden bravo nie zadawał ciosu bez odpowiednich bonifikacyi.

Zdobycie niezależności jest korzyścią raczej formalną, bo faktycznie istniała ona od dawna. „Jarzmo“ tureckie nie było zbyt ciężkie, owszem przedstawiało pewne korzyści ekonomiczne w kwestyi ceł tureckich. Natomiast przybranie tytułu cara 3 i pół milionowego narodu stanowi raczej komiczne intermezzo w tragedyi internacyonalnej. Mimo to bez wątpienia ambicye of the lesser czar, jak go nazywa złośliwie prasa angielska, idą daleko.

Czyżby „mniejszy car“, za przykładem bohaterskiego Kruma ze starej historyi Bułgarów, chciał zadzwonić orężem o mury Carogrodu?

E. A. Powell[1]) widzi w nim możliwego cesarza Bałkanu. W tym wnuku Ludwika Filipa uderza go podobieństwo z ostatnim cesarzem Francyi w „disposition“ i charakterze. Ma burbońskie maniery i burboński fałsz, jest zupełnie niepopularny z powodu swej polityki, swych parad i ekstrawagancyi, ale jest urodzonym dyplomatą i politykiem.

Macedonia pragnie hegemonii bułgarskiej, Serbia woli alians bułgarski od pochłonięcia przez Austryę, król rumuński jest już wiekowy, Montenegro i Albania weszłyby w tę kombinacyę. Cesarstwo bałkańskie mogłoby stawić czoło europejskiemu mocarstwu, z armią więcej niż miliona ludzi. Wchodząc w ślady Napoleona III, któremu tak jest podobny, zrobił się carem Bułgarów przez coup d' état i możliwe, że w drugiem posunięciu stosownie wymierzonem zrobi się cesarzem Bałkanu.

Kombinacya jest bardzo przedwczesna, a protest i oburzenie żywiołu bułgarskiego w Macedonii z powodu kroku nowego cara

---

[1]) v. *World's Work.*

świadczy, że najwięcej interesowani nie stawiają wcale w jednym rzędzie aktu z 6 października z posunięciem naprzód sprawy macedońskiej. Ich zdaniem jestto raczej wymiana czczego tytułu za poświęcenie przyszłości „nieoswobodzonej Bułgaryi“.

Korzystającą jest Austrya.

Nie bawiąc się w horoskopy, jaką będzie Austrya w przyszłości bliższej czy dalszej, jakie stanowisko w niej zajmie żywioł słowiański, czy tenże zdolny będzie odjąć monarchii cechy przedniej straży germanizmu, zgodzić się trzeba na jedno: na zewnątrz, wobec żywiołów bałkańskich występowały Austro-Węgry dotychczas przeważnie wrogo, ze wszelkiemi cechami germańskiego naporu. W oczach każdego Słowianina za Sawą w roli austryackiego kulturträgera malował się Niemiec idący ku morzu egejskiemu na ruinach narodowości i kultury słowiańskiej. Tę ostatnią może ktoś uważać za mniej lub więcej wartościową, w każdym razie była ona swojską, wyrosła z rasy, odpowiadała cechom duchowym ludu. Obca, narzucona pośpiesznie przez zdobywców, wydaje rezultaty wcale nie pocieszające, czego przykładów licznych dostarczyła Bośna.

To jest rozumowanie nie bez słuszności, zarzut nie bez podstaw, jaki polityce rządu bułgarskiego postawiła ze swego stanowiska opinia publiczna pobratymczej Serbii.

IV.

Czy stary car Asen, który również koronował się niegdyś w cerkwi czterdziestu męczenników, byłby zadowolony, gdyby mógł spojrzeć na Ferdynanda-Odnowiciela, nie można przesądzać.

To pewna, że po carze Ferdynandzie najbardziej zadowolonym czuje się drugi partner w rekordzie o spoliacyę Turcyi: Austro-Węgry.

Ogłoszenie niezawisłości Bułgaryi — stwierdził br. Aehrenthal w delegacyi austryackiej — odpowiada faktycznej sytuacyi, którą to państwo umiało sobie wytworzyć od dawna za zgodą wszystkich mocarstw. Monarchia śledzi od dawna ze szczególnym interesem rozwój postępowy Bułgaryi i dała jej liczne dowody swej życzliwości.

To, czego nie powiedział br. Aehrenthal w swem exposé, jest fakt, że dowody życzliwości dla Bułgaryi szły zawsze w pa-

rze z życzliwością dla idei austryackiego pochodu ku morzu E g e j s k i e m u.

Niezaprzeczonem jest i to, że rząd bułgarski, zapewniwszy poparcie monarchii dla swego zamachu stanu, partycypował w posunięciu, którego skutkiem był rozpaczliwy okrzyk pobratymców od Belgradu do Nowego Bazaru, od Pirotu do Cetynia. Ból zerwanych marzeń, unicestwionych tendencyi zjednoczenia, rozpacz narodu, któremu po anneksyi Bośny i Hercegowiny pozostawiono zbyt mało iluzyi co do możności samoistnego rozwoju, towarzyszył tirnowskiej proklamacyi.

Nieprzyjaciele Serbii spodziewali się zbrojnego ruchu i protestowali przeciw zachowaniu się Bułgaryi. Serbia posłała pobratymcom życzenia, mimo że ze strony tych, którym to nie było na rękę, rozgłoszono wieści o spisku na ks. Ferdynanda, uknutym w Belgradzie. Niemniej cios był silny, tembardziej, że znalazł Serbię nieprzygotowaną wewnątrz, pozbawioną wszelkiej rzeczywistej pomocy z zewnątrz.

Cios zadany Serbii uderzył również w myśl solidarności bałkańskich Słowian.

Rzecz prosta, idea konfederacyi bałkańskiej miała w monarchii zdecydowaną nieprzyjaciółkę. D i v i d e e t i m p e r a znachodziło w polityce bałkańskiej Austro-Węgier szerokie zastosowanie. Monarchia nieprzyjazna na kongresie berlińskim utworzeniu autonomicznej Bułgaryi, wkrótce umiała z niej zrobić atut w grze o bałkańską hegemonię; atut użyty został w r. 1885 z maestryą, która nie ma nic wspólnego z moralnością.

W r. 1885 Serbia zupełnie nie była zagrożoną w swoich interesach narodowych powodzeniem Bułgaryi, ale za to nastręczała się wyborna sposobność wytoczenia raz jeszcze starej meternichowskiej polityki: rzucenia jednej narodowości na drugą.

Rozłam spowodowany wojną serbsko - bułgarską stworzył dla Austryi sytuacyę niesłychanie korzystną, znaną od dawna pod imieniem t e r t i u s g a u d e n s. Pod tym względem Śliwnica była nietylko Serbii klęską; cios poniosła równie dobrze Bułgarya. Ideę solidarności grzebano na długie lata w krwawem błocie śliwnickiem.

Obecnie idea ta, rzucana przez żywioły najinteligentniejsze i najlepsze na Bałkanie, zdaje się być jeszcze dalszą urzeczywistnienia, niż dawniej.

V.

Nie brakło głosów niezadowolenia, a nawet oburzenia w samej Bułgaryi.

Po wybuchach entuzyazmu (cyfra lewa,[1] którą kosztował, nie jest dokładnie znana) pojawiły się ze strony bułgarskiej zarzuty i restrykcye. Bez kwestyi Bułgarya idąca na czele państewek bałkańskich nie mogła tolerować, aby jej niezawisłość mogła podlegać dyskusyi. Niezawisłość ta jest zresztą *fait accompli* od wielu lat. Lecz od stwierdzenia swych praw suwerena do ogłoszenia ks. Ferdynanda królem, co więcej carem Bułgaryi, jest przestrzeń zbyt wielka. Dla jej przebycia zdecydowano się na ofary za wielkie. Nie cofnięto się przed służeniem sprawom cudzym, nieprzyjacielskim, interesom austryackim i germańskim przeciw interesowi nacyonalnemu, bałkańskiemu. Bułgarya wchodzi definitywnie w sferę wpływu ekonomicznego i wojskowego Austro-Węgier, a wkrótce — co gorsza — Niemiec i naraża swój dobrobyt dla zbrojeń i zbogacenia oligarchii parweniuszów. Już budżet 120 milionów i dług ½ miliarda ciąży na kraju prawie wyłącznie rolniczym, zależnym tak bardzo od złego lub dobrego urodzaju; teraz nowe ciężary zawisną nad ludnością. Rząd jakiegokolwiek rodzaju — demokraci, zankowiści, czy stambułowiści — nie omieszkają wycisnąć ostatnich źródeł dochodu. — Czeka nas los Rumunii cywilizowanej z wierzchu, wynędzniałej w rzeczywistości — wołają opozycyoniści. Jeźli Ferdynand Koburg chce naśladować gesty Karola Hohenzollerna, to my nie możemy pragnąć, aby Bułgarya stała się ekonomicznie i dyplomatycznie wasalem monarchii austro-węgierskiej, jak Rumunia. Zapewnienia Paprikowa w sobraniu, że Bułgarya nie zapomni solidarności słowiańskiej i nie podda się germanizmowi, są mało uspakajające.

Nasza polityka — twierdzi Kowacew — od chwili tryumfu młodoturków była bardzo prostą. Trzeba było natychmiast układać się o ugodę. Kwestya kolei Rumelii wschodniej z powodu swej wagi strategicznej wymagała układów, które mogły być ułatwione przez strajk robotników kolejowych, przez niezbędną potrzebę pieniędzy, jaką odczuwali młodoturcy. Zamiast tego pozwolono księciu Ferdynandowi wdać się w recepcye au-

---

[1]) bułgarski frank.

stryackie i węgierskie, bardzo hałaśliwe i kompromitujące i przygotować tę niespodziankę korony, która jest anachronizmem. Nasza jedyna nadzieja jest w niezadowoleniu, dziś głuchem, lecz już głębokiem i nieodpartem. Otwórzmy oczy i patrzmy wokoło siebie (Rumunia, Serbia etc.). Zdobycz Austryi jest groźbą, która może obrócić się przeciwko nam.[1])

Są politycy, którzy wskazują, jako przyszłość, konfederacyę bałkańską wraz z Turcyą.

Interpelowano o to w ostatnich czasach Hilmi-paszę, nowego premiera gabinetu młodotureckiego, po upadku Kiamil-paszy. Konfederacya bałkańska? — odrzekł. Dziś jest ona marzeniem, fantazyą; ale z chwilą dokonania odrodzenia państwa z armią silną, Turcya może się zająć urzeczywistnieniem tej idei.

Chodziłoby o to, czy starczy czasu. Stary podróżny do Saloniki idzie wciąż naprzód.

* * *

Jeżeli we Francyi, wedle przysłowia, „tout finit par la chanson“, to Wschód ma zwyczaj kończyć wszystko przez pożyczki — nawet najbardziej zawikłane spory dyplomatyczne.

Imbroglio bałkańskie — twierdzą dowcipni — prowadzi do pożyczki bułgarskiej, serbskiej, tureckiej, nie licząc nieuniknionej pożyczki rosyjskiej.

„All's well that ends well“.

Dr. Zygmunt Stefański.

ROZSTRÓJ POLITYCZNY U CZECHÓW.

Myśl czeska zajmuje wobec wielkich wydarzeń, rozgrywających się w całej Europie, stanowisko... wyczekujące. Próżnoby szukać jakichkolwiek danych, po których możnaby poznać, co sądzi czeski ogół, a przynajmniej jakaś znaczniejsza część społeczeństwa, o przesileniach rosyjskiem, węgierskiem i bałkańskiem, tj. jak sobie wyobraża stosunek tych wydarzeń do interesów czeskich; a przecież są to sprawy, których rozstrzygnięcie w tym lub owym kierunku wpłynąć może stanowczo na losy

---

[1]) v. *Courr. Europ.* str. 629.

całego narodu czeskiego, na całą sferę jego interesów politycznych. Osłabienie zmysłu politycznego obok ogromnego rozpolitykowania!

Ten brak oryentacyi jest bowiem tem dziwniejszy, że Czesi zajmują się żywo wielką polityką, europejskim tokiem spraw, a jednak nie zdają sobie należycie sprawy z tego, co się dziś dzieje w Zagrzebiu, Belgradzie, Budzyniu, w Warszawie i Petersburgu. Wiedzą, że zachodzą tam wypadki wielkiej doniosłości, ale nie wiedzą, co to właściwie jest, nie umieją sobie tego wytłumaczyć i — jakie wobec tego zająć stanowisko. Olbrzymia większość społeczeństwa ma ochotę pozostać jakby neutralną, czekając, co będzie, ażeby potem dopiero, gdy sytuacya się wyjaśni, powziąć decyzyę. Moralne znaczenie Czechów upada przez to, schodzą dobrowolnie na stanowisko bierne. Nie wyniknęło to z żadnego obrachowania, lecz jest prostym skutkiem nieznajomości tych spraw, które teraz zafermentowały[1]). Całe pokolenie wyrosło w zupełnie fałszywych pojęciach (np. o Rosyi i Polsce); jakżeż więc teraz mają się oryentować? Na ogół panują poglądy strasznie przestarzałe. Dookoła kiełkuje nowe życie, do którego trzeba się jakoś zastosować, jeżeli się niema ponieść dotkliwych szkód i pozostać w tyle — a Czesi kręcą się w kółko około zwietrzałych haseł, kłócą się o liberalizm i klerykalizm i tym podobne rupiecie ex Anno Domini 1848, w roku... 1909! Gdzieindziej może to być tylko śmiesznem, ale w Pradze może być niebezpiecznem, bo Czechy bardziej są narażone w tych czasach na poważne niebezpieczeństwa.

W życiu publicznem czeskiem nurtuje gorączka. Raz wraz zjawiają się jakieś „programy“, ażeby zniknąć i zamrzeć niebawem. Nie tak łatwo jednak o nowy program czeski; trzebaby do tego gruntownej rewizyi pojęć, tego zaś ledwie zawiązki jakieś okazują się. Stronnictwa opozycyjne nie zdobyły się dotychczas na nic innego, jak na krytykę młodoczechów. A należałoby też dać teraz spokój wysuwaniu na pierwszy plan spraw społecznych, a zająć się najbardziej czysto politycznemi i wysunąć na pierwszy plan sprawy ściśle państwowe i ściśle narodowe.

Program czeski wewnętrzny nie wyłoni się, aż dopiero po obmyśleniu i przyjęciu jakiegoś programu polityki z e w n ę t r z n e j c z e s k i e j. Tak bowiem ułożyły się stosunki, że czeskie

[1]) por. *Świat Słowiański* z kwietnia 1906.

sprawy wewnętrzne zależą od zewnętrznych. Niestety, Czesi nie zdają sobie z tego jeszcze sprawy, że dopóki w Petersburgu i w Wiedniu przeważają wpływy berlińskie, niema co marzyć ani o autonomii Kongresówki, ani o wznowieniu czeskiego prawa państwowego, ani o podjęciu przez Habsburgów idei jugosłowiańskiej. Nie zdadzą się na nic wszelakie „krwawe niedziele“, bojkoty narodowe, strajki szkolne, obstrukcye pocztowe itp. Dużo energii, poświęcenia, zapału, patryotyzmu idzie całkiem na marne, bezskutecznie. Przy dzisiejszym ustroju Austryi nie posunie się już sprawa równouprawnienia narodów dalej, niż się już posunęła. Ile bowiem równouprawnienia ustrój ten znieść zdoła, tyle już na niego naładowaliśmy. Gdyby zniósł więcej, przestałby być sobą — i pociągnęłoby to za sobą dalekie konsekwencye, sięgające w zakres spraw międzynarodowych. Marne więc wszystkie nasze wysiłki, dopóki te czynniki, do których należy polityka zagraniczna, nie nabędą przekonania, że trzeba się emancypować od wpływów berlińskich.

Pewnik ten — a jest to pewnikiem — wskazuje zarazem, jakiej taktyki winna się trzymać polityka słowiańska, a zwłaszcza czeska. Należy przedewszystkiem budzić i posiąść zaufanie tam, gdzie jest ster spraw międzynarodowych, należy przekonać, kogo należy, że idea słowiańska nietylko nie jest niebezpieczną dla Austryi, lecz przeciwnie, tylko pod jej znakiem może Austrya zapewnić sobie potęgę na nowy okres dziejowy. Trzeba przekonać, kogo należy, że słowiaństwo warte dla Austryi więcej od prusactwa.

Kiedy Niemcy zaśpiewali w sejmie czeskim „Wacht am Rhein“, należało Czechom podnieść z największym naciskiem ideę austryacką i doprowadzić umyślnie do tego, żeby padały w kraju wyraźne hasła: „Hie Habsburg — hie Zollern!“ A tymczasem zamiast tego nastało... wyczekiwanie, a w końcu klofaczowskie antyhabsburskie okrzyki na ulicach Pragi — przez Niemców wyzyskane wszechstronnie i znakomicie przeciw Czechom.

I podobnież w wielu innych wypadkach ostatnich lat; gdzie należało działać raźno i narzucić sytuacyę przeciwnikowi, Czesi... wyczekiwali, aż się doczekali odwrócenia sytuacyi przez nieprzyjaciela.

W chwilach stanowczych bywali Czesi bezczynnymi.

A jednak naród to taki ruchliwy, sprawami publicznemi zajmujący się gorliwie, z wielkiem zamiłowaniem, a nie cofający

się przed wysiłkiem, ani ofiarą materyalną. O apatyę posądzać Czecha, byłoby wprost śmiesznem. Czech stoi ciągle na straży swych interesów, czynny bez ustanku, uwija się na wszystkie strony z wytrwałością godną podziwu, czuwa i działa bez przerwy — ale nie oryentuje się. Praktyczność czeska kończy się tam, gdzie się zaczyna polityka. Czech wysili się na drobnostki, a chwilę stanowczą... przeoczy i przez to cała jego poprzednia praca idzie częstokroć na marne.

Niema w polityce czeskiej żadnej wielkiej linii wytycznej, wspólnej wszystkim wielkim stronnictwom. Do dziś dnia np. nie są zgodni w zapatrywaniach na stosunek zachodzący pomiędzy interesem czeskim, a interesem państwa austryackiego i dynastyi. Dotychczas jeszcze nie wiedzą, czy lepszy dla nich dualizm, czy też lepiej go zwalczać? Jak dalece realne interesy czeskie tkwią w... Warszawie, o tem nawet myśleć nie zaczęli. O stosunkach polsko-ruskich w Galicyi, sądzą co dnia inaczej. Czemżeż zajmuje się więc myśl polityczna czeska, czem żywią się stronnictwa czeskie, skoro nie zdążono jeszcze przedyskutować rzeczy zasadniczych, elementarnych?

Chcąc wytłumaczyć dokładnie właściwości czeskiego życia publicznego (całkiem różnego od naszego), trzebaby szeregu artykułów. Nie mając pretensyi do wyczerpania przedmiotu, pragnę dziś zwrócić tylko uwagę na to, co się dzieje wśród czeskich stronnictw — a czego nie można nazwać inaczej, jak rozstrojem politycznym — przyczem będę się starał udowodnić swe wywody faktami i objawami z najnowszego czasu, po większej części z ostatnich miesięcy, a nawet tygodni.

Krytycznem rozpatrzeniem polityki czeskiej zająć się trzeba koniecznie. Chodzi tu o rzecz nielada, bo o zdolność do pozytywnej akcyi narodu bogatego i bardzo inteligentnego -- który jest jednakże politycznie biernym, poprzestając na pozorach działania.

Piszę dla informacyi Polaków, a nie dla mentorowania Czechów. Jeżeli zaś głos ten dojdzie do naszych zachodnich pobratymców, pragnąłbym, żeby uwzględniono łaskawie, że pochodzi od szczerego, serdecznego Czechów przyjaciela, a w niejednej rzeczy wielbiciela.

Zasadniczą przeszkodą, dla której Czesi nie mogą uprawiać skutecznie polityki narodowej, jest to, że nie posiadają

wobec Wiednia żadnej ogólnonarodowej reprezentacyi. O nieszczęsnym braku solidarności na zewnątrz u posłów czeskich w parlamencie była już mowa w *Świecie Słowiańskim* po wielekroć. Usunięcie tego ciężkiego niedomagania jest najgorętszem pragnieniem Polaków. Zdawało się, że będzie lepiej w parlamencie „ludowym“, niestety, nadzieje zawiodły.

Hasło do założenia wspólnego Klubu parlamentarnego czeskiego wyszło od posłów z Moraw (gdzie wogóle jest znacznie więcej wyrobienia politycznego, aniżeli w Koronie). Latem 1906 r. mówiło się dużo o koncentracyi stronnictw (zob. nasze „Przeglądy prasy słowiańskiej“) i ostatecznie zdecydowali się agraryusze, staroczesi, młodoczesi, katolicko-narodowi i realiści — nie rozwiązując swoich klubów — utworzyć z nich organizacyę ogólniejszą, konfederacyę niejako sprzymierzeńców, której dano miano „Národni Klub“. Konfederacyi działo się jako tako, a dnia 14 czerwca 1907 rozszerzyła się na wszystkich Czechów w parlamencie (prócz socyalistów) i nazwała się Svazem (Związkiem klubów czeskich). Była to organizacya nader luźna, ale bądźcobądź było to coś na „dobry początek“. Ale złudzenia rozwiały się aż nazbyt prędko. Biorąc rzeczy ściśle, Svaz faktycznie nigdy nie istniał, a niebawem rozbił się też Narodni Klub; pełen swarów i waśni, dowegetował ledwie do grudnia 1908 roku.

Przyjrzyjmy się stronnictwom, które miały tworzyć wspólny Klub i Svaz[1]):

Rozbicie się czeskiego Klubu Narodowego w parlamencie austryackim jest tylko jednym z epizodów fermentu politycznego, przez który przechodzą Czesi od lat kilku. Wszystkie ich organizacye polityczne przeżyły się i wyczerpały; próbuje się raz w raz nowych, ale nie natrafiono jeszcze na właściwą drogę. Czeska myśl polityczna weszła w okres przesilenia. A tyczy się to nietylko konserwatystów, ale również postępowców.

W r. 1907 rozdwoiło się czeskie stronnictwo postępowe (pokrokové). Rozbicie nastąpiło o kwestyę stosunku do agitacyi socyalistycznej. Po krótkim czasie radykalniejsi wzięli górę i w r. 1908 obydwa kierunki złączyły się znowu — przynajmniej for-

---

[1]) Zob. artykuł Langnera „Stronnictwa czeskie“ w zeszycie lutowym z r. 1906, poprzestaję tu bowiem na tem tylko, co jest potrzebne do uzupełnienia tamtego artykułu.

malnie — w jeden obóz, zawarłszy z socyalizmem cichy kompromis.

Zwolennicy prof. Masaryka, zowiący się realistami — sympatyzujący zawsze z socyalizmem — cierpieli od początku na niewyraźność swego programu politycznego. Długo twierdzili, że oni wyrabiają tylko metodę, jak należy traktować sprawy publiczne, ale bezpośrednio do polityki się nie mieszają i trzymają się z zasady zdala od aktualnej polityki. Ale dali spokój zasadzie, gdy się ich zebrała znaczniejsza liczba i w r. 1900 zorganizowali się w „czeskie stronnictwo ludowe". Po sześciu latach część ich połączyła się z postępową frakcyą ze wschodnich Czech, której organem *Osvěta Lidu* (redaktor Aloizy Hajn), część przeszła do zreorganizowanego w r. 1906 stronnictwa narodowo-liberalnego (narodní strana svobodomyslná), zwanego powszechnie młodoczeskiem i nazewnątrz znanego niemal tylko pod tem mianem. Trzecia tylko część „realistów" pozostała wierną Masarykowi i oficyalnemu jego organowi *Časovi*.

Staroczesi, zowiący się urzędowo „strana narodní", uznali również potrzebę rewizyi programu ; zmodernizowano go w roku 1907, ale nie przyczyniło się to bynajmniej do ożywienia stronnictwa.

Na Morawach jest kilka grup „postępowców" ; grup już to lokalnych, już to związanych ściśle — nazbyt ściśle — z pewnemi osobistościami. Nie zlały się w jedno stronnictwo, stanowiąc tylko pewnego rodzaju koalicyę, dość luźną, w której działają wprawdzie siły dośrodkowe (często zdobywano się na wspólną akcyę i jednaką taktykę), ale niemniej też odśrodkowe. Niektóre grupy „postępowców" morawskich ciążą znacznie ku stronnictwu „ludowemu", tak, że debaty nad stosunkiem jego do „postępowców", (z którymi połączyli się w końcu — o czem niżej) ciągnące się bez końca, a ze zmiennym rezultatem, zmieniały nieustannie i stosunki wewnętrzne wśród postępowego obozu i akcye jego na zewnątrz.

„Ludowcy" owi morawscy (strana lidova) niewiele mają wspólnego z chłopem. Jestto organizacya inteligencyi wolnych zawodów, która chciała pójść do ludu, nie doszła do niego, ale zyskała tymczasem grunt wśród drobniejszego mieszczaństwa na Morawach, które pobudziła w znacznej części do życia publicznego. Co jednak począć z tym żywiołem, tego sami dobrze nie wiedzą.

Prawdziwem stronnictwem ludowem chłopskiem są w Czechach i na Morawach agraryusze. Zaczęli od pilnowania interesów stanowych, uważali się przez długie lata za organizacyę tylko ekonomiczno-społeczną i nawet zarzekali się polityki. Stali się stronnictwem politycznem niemal mimowoli i nastąpił o to wśród nich rozłam; zanosi się nawet na secesyę. Na walnym zjeździe w Ołomuńcu jesienią 1907 r. wystąpili chłopi nie na żarty przeciw swym przywódcom, tak, że od tego czasu nie zwołano już drugiego zjazdu.

Staroczesi morawscy — to sztab bez wojska. Ludzie bardzo poważni i w życiu politycznem tędzy, ale wszyscy już starsi wiekiem, a bez „narybku".

Katolicko-ludowy obóz, kierowany — jak dotychczas — niemal wyłącznie przez duchownych, wzmaga się widocznie i jest jedynem na dziś stronictwem czeskiem, w łonie którego nie słychać o przesileniach. Ale stronnictwo to ma wszystkie inne przeciw sobie i minie jeszcze sporo czasu, nim będzie mogło przystąpić do właściwej akcyi politycznej. Obecnie obrona sztandaru pochłania wszystkie niemal jego siły. Od pewnego czasu zabrali się katolicy czescy i morawscy do kwestyi społecznej, a czem gorliwiej się nią zajmują, tem zacieklej występują przeciw nim inne stronnictwa.

Specyalność czeska: „narodowy socyalizm" (wódz: osławiony Klofač), składa się nie tyle z robotników, ile ze specyalnej warstwy społecznej t. zw. podurzędników, nadto ze sklepikarzy, drobnych pośredników handlowych i t. p. Stoi to „stronnictwo" popularnością swego przywódcy i rozpadnie się z jego upadkiem. Próby zorganizowania czegoś podobnego na Morawach zawiodły.

Stronnictwa czeskie nie są wyraźnemi programami zróżniczkowane dostatecznie i przechodzenie z jednego do drugiego jest zjawiskiem jak najpospolitszem, codziennem. Chaos coraz większy, politycy zawodowi (zwłaszcza posłowie i kandydaci na posłów) widząc, jak wyborcy ich tworzą nieskrystalizowaną masę, nazbyt ruchomą, a więc tem mniej pewną, wysilają się na wymyślenie czegoś nowego, stalszego, pewniejszego, dającego więcej rękojmi bezpieczeństwa przyszłych wyborów. Niektóre koncepty są ciekawe. Tak np. d. 5 i 6 stycznia 1909 odbywał się w Prościejowie pierwszy zjazd „stronnictwa politycznego czeskich rękodzieł na Morawach!"

Staroczesi w Czechach właściwych zajęci są całkiem poważnie organizowaniem stronnictwa politycznego „ku obronie interesów stanu średniego“. Ogłosili przywódcy staroczescy odezwę, nawołującą do organizacyi politycznej stanu średniego — ale bynajmniej nie pod staroczeskim sztandarem; ani nazwy tej nie użyto, ani nie wspomniano ni słówkiem o czemkolwiek z przeszłości politycznej większości osób podpisanych na odezwie. Wstydliwość dziwna, nie wzbudzająca szacunku; skoro chodzi o utworzenie stronnictwa konserwatywnego, w przeciwieństwie do socyalistów i sympatyków socyalizmu (realistów i pokrokowców), najlepiej byłoby nazwać się poprostu konserwatystami. Skoro są konserwatyści w Anglii, dlaczego niema ich być w Czechach?

Częstokroć próbuje się utrzymać zwolenników — wyrzekaniem się oficyalnej nazwy stronnictwa. Główny organ tej organizacyi, berneńskie *Lidove Noviny* (własność głowy stronnictwa, dra Stranskiego), gdy zaczął być w roku zeszłym mniej popularny, opuścił z nagłówka pisma wyrazy: „orgán lidové strany na Moravě“! Inny przykład jeszcze lepszy: Jesienią 1908 roku nabył komitet wykonawczy tego stronnictwa ludowego pismo prowincyonalne, wychodzące w Třebici *Hlasy ze západní Moravy* i wydaje je z dopiskiem w nagłówku: „Tygodnik postępowy, broniący interesów wszystkich warstw ludu czeskiego“.

Přehled scharakteryzował doskonale dzisiejszy chaos czeski: „Zaiste nie pomoże się naszemu życiu publicznemu tworzeniem nowych obozów i obozeczków politycznych, w chwili, kiedy cały niemal ogół polityczny tonie w bezradności, nie mając oparcia, nie mając podstaw do spokojnego osądzania faktów, a będąc pochopnym do zmiany przekonań przy każdem niepowodzeniu, rzeczywistem czy domniemanem, i rzucać się bez namysłu w objęcia tych, którzy w danej chwili najwięcej — obiecują!“

Słusznie powiedziano w styczniowym zeszycie *Pokrokové Revue*, że „łatwiej się naród rozdrobi na tysiączne stronnictwa, niż się potem z tego mnóstwa złączą dobrowolnie dwa stronnictwa, żeby zmniejszyć chaos w narodzie.“

O zszeregowaniu zbyt licznych stronnictw czeskich we dwa szeregi, w dwa obozy: konserwatywny i postępowo-liberalny, myślał we wrześniu 1906 r. prof. Masaryk. Niech mu to będzie zapisane na pamiątkę i rozsądku i szerszego horyzontu, że (niesłychanym u Czechów przykładem) uznał racyę bytu stronnictwa przeciwnego, i on — liberał i postępowiec — oświadczył był

wówczas: „uznajemy pożyteczność stronnictwa konserwatywnego“. Do konserwatystów zaliczył wtenczas staroczechów, „státopravników“ (stronnictwo prawa państwowego), narodowych socyalistów (sic!) i radykałów (sic!) — a rejestr ten „konserwatystów“ pozostanie klasycznem świadectwem chaotyczności, w jaką popadło czeskie życie publiczne.

Walna rozprawa pomiędzy stronnictwami nastąpiła jednak nie o stare rupiecie „konserwatyzmów“ i „liberalizmów“, ale o współczesne rzeczy ściśle polityczne, a mianowicie o stosunek Czech do Austryi, o metodę polityki czeskiej wobec rządu centralnego — czy stać w opozycyi, czy też przyjąwszy udział w rządzie, uprawiać politykę „pozytywną“.

Było to w sierpniu 1906 r. *Národni Listy* wystąpiły z twierdzeniem, że stronnictwo młodoczeskie rozpoczyna nową, pozytywną politykę: nie mogąc przeprowadzić w obecnych stosunkach czeskiego prawa państwowego, zabiera się do polityki „cislitawskiej“, która polegać będzie na tem, żeby w ramach obowiązującej konstytucyi i organizacyi państwa dążyć do zajęcia jak najwięcej wpływowych stanowisk przez Czechów i tak zapewnić polityce czeskiej znaczenie, a zwłaszcza zabezpieczyć się, że w Austryi nie przedsiębierze się przynajmniej niczego przeciw Czechom [1]).

Te same *Nar. Listy* opuściły potem sromotnie Dra Kramařa, głowę kierunku „pozytywnego“, a gdy ten założył dla obrony swego programu własny dziennik, *Den*, — uważały sobie za obowiązek zabawić się (nie po raz pierwszy w swej karyerze!) w Saturna, zjadającego własne dzieci.

Młodoczesi rozpadli się na dwie grupy: jedna pozostała przy *Narodnich Listach* i dynastyi Gregrów, druga, z d-rem Kramařem na czele, podtrzymuje *Den*. Dzienniki te polemizowały z sobą od początku ostro, ale polemika, którą wiodły w styczniu roku bieżącego w łokciowych artykułach, należy do najzacieklejszych, jakie znają kroniki prasy czeskiej. A ci i tamci należą do tego samego stronnictwa! Bo właściwie teraz w Czechach stronnictw niema; są tylko chaotyczne grupy, z których ma się dopiero coś wytworzyć.

Pokroková Revue (styczeń 1909) napisała o młodoczechach, że „myślący ich trzon składa się — prócz nielicznych wyjątków

---

[1]) Por. nasz zeszyt z sierpnia 1906, str. 145.

— na ogół z ludzi nowych, którzy przeszli już przedtem przez kilka stronnictw przeciwnych; tak więc właściwie zostaje już z młodoczeskiego stronnictwa tylko sam tytuł; właścicielem starej firmy jest już — obcy".

Polemika *Narodnich Listów* i organu dr. Kramářa *Den* doszła już do tego, że można powiedzieć śmiało, iż spalono już wzajemnie za sobą wszystkie mosty. Sam właściciel *Nar. Listów*, Prokop Gregr, wystąpił, ażeby rzucić swe popularne po ojcu nazwisko na szalę kierunku politycznego, którego zasadą: opozycya przeciw wszystkiemu, co tylko nie spełnia odrazu wszystkich postulatów czeskich (a więc opozycya na wieki, póki narodu czeskiego na świecie, boć każdy naród, zdatny do rozwoju, ma zawsze jakieś niezałatwione postulaty). Twórca polityki pozytywnej, dr. Kramář, (który wzorował się niewątpliwie na naszych „stańczykach"), przegrawszy swieżo próbną kampanię w Wiedniu, nie ma czem okupić sobie popularności, ale broni samej zasady ze zdwojoną energią. Nie popierany należycie przez rodaków — generał bez wojska, jak się wyraził *Přehled* — upatruje główną przyczynę niepowodzenia w siejbie *Narod. Listów*, i zdaje się mieć w tem słuszność.

Ale nie trzeba sądzić, że obóz Gregra jest górą. Rzecz to wcale jeszcze nie rozstrzygnięta. *Narodní Listy* są jeszcze dosyć silne, żeby móc szkodzić i przeszkadzać, ale stanowczo już za słabe, żeby mogły ze swego obozu wykrzesać coś mogącego posiadać realną wartość. A zresztą są do tego za mało intelligentne. *Narodní Listy*, to typowa polityka kawiarniana, nic więcej.

Samo streszczenie wywodów Kramařa wymagałoby kilku stronnic druku. Poprzestaniemy na streszczeniu jednego z najciekawszych ustępów polemiki. *Den* z 3 stycznia twierdzi, że *Narodni Listy* jeszcze za czasów choroby śp. Juliusza Gregra zaczęły być czynnikiem rozkładowym w stronnictwie młodoczeskiem. Program Gregra z r. 1891 był programem polityki pozytywnej i nie miał nic wspólnego z radykalizmem. Były to najlepsze czasy młodoczechów, a gdy wypadło im przejść do opozycyi, „nie była ona burzliwą, krzykacką, ale rzeczową i konsekwentną; wcale nie negatywną, lecz pełną inicyatywy, projektów do daleko sięgających reform, któremi żywią się i pasą (žijou i tyjou) wszystkie późniejsze stronnictwa czeskie..." „Byłem wówczas (mówi dr. Kramař) tylko skromnym członkiem Klubu",

kiedy w *Nar. Listach* uprawiało się już politykę na własną rękę, przyklaskiwało się Vašatemu i głosiło opozycyę skrajną. Wymyślono wtenczas w redakcyi frazes, że polityka czeska potrzebuje nie znawców zawodowych, ale charakterów, i dalejże na znawców o brak charakteru! „Jeden z najlepszych czeskich polityków i publicystów, Gustaw Eim, znosił we Wiedniu prawdziwie po męczeńsku polityczne donkiszotostwo praskiej redakcyi; był on najświetniejszem piórem i najtęższą głową polityczną pisma, a musiał przemycać do niego niemal podstępnie myśli zdrowego rozumu i realnej polityki, robiąc to w sposób jak najkunsztowniejszy, pod powodzią radykalnych wyrażeń". Po śmierci Juliusza Gregra redakcya bez głowy tworzyła „wolną republikę, gdzie każdy pisał, co chciał", a łącznikiem edynym była niechęć do Klubu Czeskiego we Wiedniu. *Narodni Listy* nie wyjaśniały nigdy polityki Klubu, nie interpretowały jej ogółowi, tylko podburzały nieustannie. Robiły to nawet za Badeniego!! Rzucały następnie kamienie pod nogi Kaizlowi w gabinecie Thuna. Kiedy chodziło o przeprowadzenie w praktyce równouprawnienia, *Narodni Listy*... wyrwały się z kampanią o słynne „zde"! I takich „dywersyj z tyłu" było pełno i za Körbera i za Gautscha, zawsze wyjeżdżały *Narodni Listy* z jakąś drobnostką, którą wydymały do rozmiarów niebywałych, ażeby okazać, że posłowie są nie dość patryotyczni, za mało opozycyjni; i dzięki tym „dywersyom" o drobiazgi nie mogła reprezentacya czeska nigdy załatwić czegoś zasadniczego, choć kilka razy była tego tak bliską. W stanowczej chwili powstała zawsze w kraju jakaś awantura i korzystna sytuacya polityczna zmieniała się w lot.

Nový Věk zamieścił na czele Nru 15 artykuł wstępny p. t. „Soud nad Národními Listy", z którego przytoczymy najważniejszy ustęp:

„Inicyatywę założenia *Narodnich Listów* dali Palacký i Rieger, i oni też pisali pierwsze artykuły programowe. Doczekali się za to niebawem nagrody, gdy w tych samych *Narodnich Listach* napadano na nich prostacko i łajano ich od zdrajców. Zdaje się, że wśród szlachetnych synów narodu czeskiego niema ani jednego, na którego nie ciskałyby *Narodni Listy* kamieniami potępienia i wzgardy. Cała działalność tego organu polegała na zarzucaniu zdrady uczciwym Czechom i na równo-

czesnem napełnianiu kas w administracyi dochodami z żydowskich i obcych ogłoszeń“.

„Zgubną była działalność *Narodnich Listów* także pośrednio przez swoją szkołę, przez swych wychowanków. Dr. Edward Gregr (Edward, nie Juliusz!) ze swym czczym radykalizmem, a zwłaszcza ze swem ujadaniem na katolicyzm, wyszedł z ich szkoły i został jej wiernym do końca; był podobno tylko w tem jednem konsekwentnym. Dlatego też tak „błogą“ dla narodu była jego działalność. O Baraku, uczniu tejże szkoły, niema nawet co mówić. On był najgorliwszym propagatorem religijnego nihilizmu w Czechach. A gdzież ssał mleko politycznej mądrości przywódca dzisiejszej polityki demagogicznej i nadzieja Serbów, Klofáč? W *Narodnich Listach!* Gdzie zaczynał karyerę dr. Fořt, radykał wielki przed swem ministerstwem, i znów radykał i zacięty napastnik własnych kolegów po swej dymisyi? Jeżeli dodamy, że i nasz najmilszy dr. Řezniček wyszedł z tejże szkoły, znajdziemy wyjaśnienie jego radykalnego rozsierdzenia i napastniczego występowania przeciw rozumnej polityce posłów katolickich. A to tylko niektóre okazy błogiej działalności *Narodnich Listów*“.

„Pod względem politycznym hodował ten dziennik czczy, narwany radykalizm, który przechodził w chwilach krytycznych w zniewieściałą rezygnacyę; pod względem ekonomicznym naprowadzał wodę na młyn żydowskiego kapitalizmu, a pod względem religijnym jest ojcem religijnego nihilizmu. Ani socyalistyczna prasa nie działała może tyle przeciw religii i to tak zgubnie i podburzająco, jak *Nar. Listy*. Należy tylko przypomnieć sobie dobę, kiedy Alfons Štastný przekonywał w nich powierzchowne głowy intelligencyi miejskiej i młodoczeskich „ziemian“ z prowincyi, że nauka Chrystusa jest starzyzną i tandetą bez wartości“.

Pod tym względem — co do popisywania się bezwyznaniowością — były jednak *Nar. Listy* i są zawsze w licznem towarzystwie. Myśl czeska jest w polityce bierną głównie dlatego, że cała niemal jej energia skierowana jest do walki z „klerykalizmem“ i *Den* jest pod tym względem przyzwoitszy w tonie, ale w rzeczy samej taki sam, a główną jego troską w sprawach czeskich jest to, żeby w Czechach nie wzmogli się nazbyt „klerykali“ — wobec czego wszystko a wszystko inne schodzi na drugi plan.

W listopadzie 1908 nie dopuścił do utworzenia koalicyjnego ministerstwa nie kto inny, jak dr. Kramář, a to dlatego, bo do gabinetu miał wejść „klerykał“ dr. Hruban. Odkrycie to zrobił pierwszy *Nový Věk* i można było pocieszać się, że przesadza umyślnie; ale gdy potwierdził je arcyliberalny *Pondělnik*, nie można dłużej wątpić o tym fakcie i wypada załamać ręce nad tak daleko posuniętym rozstrojem politycznym.

Pondělnik chwali oczywiście za to dra Kramářa:

„Na pochwałę dra Kramářa trzeba to powiedzieć, że on pierwszy rozbił energicznie koalicyę, którą baron Bienerth tworzył w nocy 13-go listopada. Bardziej on sam osobiście, niż jego stronnictwo, odmówił przyzwolenia adwokatowi drowi Hrubanowi na frak ministeryalny.“

Antagonizm Dra Kramařa do Dra Hrubana przedstawi się nam dopiero w należytem „politycznem“ świetle, gdy zważymy, że stronnictwo katolicko-narodowe jest właśnie najsilniejszym zwolennikiem i największą podporą polityki pozytywnej.

Kiedy chodziło w grudniu z r. o uchwalenie rządowi prowizoryum budżetowego, uchwalono w klubie katolicko-narodowym (jednomyślnie) i w „czeskim“ (większością głosów) głosować za, ale w agrarnym uchwalono przeciw. Odniesiono więc sprawę do plenarnego posiedzenia połączonych trzech klubów, czyli do Národního Klubu. Młodoczesi nie stawili się po większej części na to posiedzenie i ostatecznie postanowiono tam 30 głosami przeciw 22 głosować przeciw. Katolicy nie poddali się tej uchwale i głosowali w Izbie tak, jak przedtem jednomyślnie uchwalili byli w swym klubie. Młodoczesi i w Izbie po większej części uchylili się od głosowania [1])...

Narodni Klub był więc rozbity. Katolicki *Nový Věk* przyjął to okrzykiem: „Chwała Bogu!“ (sic! „bud' Pán Bůh pochválen“), bo „półtora roku żyło się w nienaturalnym stosunku ze stronnictwami nie zasługującemi na uczciwych sojuszników“. Siedziało się „w tej niewoli babilońskiej z Kramářem i Práškiem“ przez poświęcenie dla sprawy narodowej, ale okazało

[1]) Przypomnimy wynik tego głosowania, które odbyło się dnia 15-go grudnia. Prowizoryum przyjęto 362 głosami przeciw 55, na które złożyli się agraryusze czescy, realiści, klofaczyki, kilku młodoczechów, wszechniemcy i (nasz lwowski mały Klofač) Breiter.

się, że polityka ich jest dla narodu fatalną i można — „chwała Bogu“ — z czystem sumieniem rozejść się.

W wywodach *N. Věku* jest wiele, wiele słuszności, ale bądźcobądź zamiast „chwała Bogu“ właściwiej było powiedzieć: „niestety“.

Niestety, Czech Czecha zbija.

Ale o co? Poszło o politykę „pozytywną“, czy „zasadniczą“, o stosunek do rządu — zapewne! Ale gdyby tylko o to chodziło, mogliby Kramař i Hruban doskonale iść razem. Oni zwalczają się jednak, ale nie o politykę (to tylko pozór), lecz o poglądy nie mające z polityką związku i stosują swą taktykę polityczną do spraw ze stanowiska politycznego zgoła obojętnych.

„Realistyczny“ *Čas* (organ Masaryka) przepowiadał, że niepowodzenia Kramářa we Wiedniu przyczynią się do jeszcze większego zradykalizowania czeskiego ogółu, a zyskami z tego podzielą sie narodowi socyaliści i chrześcijańsko-społeczni. „Sytuacya niebezpieczna dla narodowych socyalistów. Podczas gdy w Wiedniu poczynają już uznawać, że radykalizm jest do niczego i kiedyniekiedy zachodzą już na drogi rozumne, wyborcy zaganiają ich z powrotem do radykalizmu i będą zaganiać do coraz większego. Tak osaczeni, będą zapewne zmuszeni politykować podobnie, jak to robili młodoczesi, osaczeni przez radykalnych wyborców: w Wiedniu oportunizm, a w kraju huzia“!

Skończyło się na razie na tem, że radykalizm zapanował i w Wiedniu i w kraju. Grono osób rozważnych i politycznie naprawdę wyrobionych, nie ma najmniejszej powagi, bo chociaż są pomiędzy sobą w politycznej rzeczy zgodni, jednakże kopią wciąż dołki pod sobą i zwalczają się bezustannie w dziennikach, w imię różnicy zapatrywań np. na... celibat księży, lub na sprawę mszy szkolnych. Rozstrój panuje wśród tego grona, jakżeż niema panować wśród ogółu? — a w takich warunkach radykalizm musi kwitnąć.

I najliczniejsze z czeskich stronnictw, agrarne, już się dezorganizuje. Pisaliśmy już nieraz, jak sam założyciel stronnictwa, Alfons Šťastný urządza „frondę“ w swych *Selskych Listach* przeciw faktycznym przywódcom stronnictwa, a zwłaszcza przeciw Praškowi. Opozycyę pod hasłem „bez sejmu nie będzie też parlamentu!“ uchwalił walny zjazd partyi jesienią z. r., tak samo postanowił też szerszy komitet wykonawczy dnia 5 stycznia 1909 — ale odpowiedzialni przywódcy mieli co do tego wątpli-

wości. A poczciwiec stary Š t a s t n ý pisze o tem w swej parafiańskiej naiwności: „Zobaczymy, że nie będzie opozycyi, wbrew uchwale najwyższej instancyi stronnictwa i na kpiny z niej. Wszak nasi panowie nie mogą się doczekać utworzenia nowego gabinetu parlamentarnego, żeby mogli wślizgnąć się do niego, a postępują tak bezwzględnie, żeby już nie powiedzieć: bezwstydnie wobec całego świata, że każdy Czech musi się za nich wstydzić“.

Z końcem stycznia oświadczył *Plzeňský Kraj* (agrarny), że posłowie czescy muszą przejść do opozycyi i to ostrej, przyczem musi być jak najobojętniejszem (neskonale lhostejno), czy bar. B i e n e r t h grozi odroczeniem, czy rozwiązaniem parlamentu. Równocześnie inne pismo agrarne, *Stráž Venkova*, wytknąwszy posłom, że już drugi raz — ale pewnie też ostatni! — wyprawiło się posłów do Wiednia po to, żeby tam robili opozycyę, a nawet obstrukcyę, powiada: „Wierzymy, że zanosi się na walkę stanowczą. N u ż e, k t o n i e m a o d w a g i — z d r o g i, n i e d o j d o !“ — a do prezesa parlamentarnego klubu agrarnego, posła U d r ž a l a, odzywa się w te słowa:

„U d r ž a l u... czyń, co Ci każe honor, bądź posłuszny woli narodu. Skoro nie chcą uznać naszych praw, r o z b i j c i e ż t o (tj. parlament) i przybywajcie do domu, żebyśmy się zjednoczyli przynajmniej w domu i żebyśmy szli z ludem do swego celu“...., bo inaczej „będziemy zmuszeni... jako niezdatni zrzec się mandatów“.

Dr. K r a m á ř jął się oglądać za sojusznikami. Zwrócił się do realistów[1]) i znalazł przyjazne echo. *Čas* z 29 stycznia wyraził zgodę na kompromis, mogący realistom przysporzyć nietylko mandatów, ale i zasługi, bo dający sposobność „uzdrowić ten galimatyas młodoczeski“, w pierwszym rzędzie w ratuszu praskim. Gdy dzięki kompromisowi wejdzie tam kilku radnych realistycznych, znajdą sposobność wywarcia wpływu na opinię publiczną, na ogół, „i oto możemy mieć odrazu wojsko, swoje wojsko, którego dotychczas nie mamy z powodu trudności i zbytniej nowości naszego programu“. Szczerość godna podziwu — bo jeżeli realiści nie mają „wojska“, tj. wyborców, co po nich dr. K r a m á ř o w i?

---

[1]) z którymi w zeszłym roku wiódł spór na zabój; *Den* i *Čas* wymieniały przez dłuższy czas artykuły zapalczywe, ząb za ząb, oko za oko.

Tam zaś, gdzie jest „wojsko“ — u „klerykałów“ — Dr. Kramař sojuszu nie szuka. Nasuwają się też poważne wątpliwości, czy sojusz *Dne* z *Časem* byłby akcyą pozytywną, podjętą celem przeprowadzenia pewnej polityki, czy też wysunęłaby się na pierwszy plan jego cecha negatywna, zwalczanie kogoś trzeciego? Wojna z zewnętrznym nieprzyjacielem schodzi na drugi plan wobec wojny domowej...

Zjazd morawskiej „lidové strany“, odbyty w Bernie dnia 6 stycznia, wezwał swych posłów do wspólnego postępowania z innemi stronnictwami opozycyjnemi, a więc przedewszystkiem z postępowcami.

Projekt „fuzyi“ wyszedł od lewego skrzydła „ludowców“. Podczas gdy prawe skrzydło przesuwało się coraz bardziej na prawo, tak, że aż zaczęło być podejrzane o sympatye „klerykalne“, popadło lewe w rozmaite przygody, nie świadczące o porządku między nimi i ostatecznie najlepiej było zlikwidować z honorami, obmyślając ową „fuzyę“, zapewniającą przynajmniej utrzymanie aż do końca cechy „antyklerykalnej“, co jest im względem ważniejszym ponad wszelkie inne, zasadą, według której dedukcyjnie osądzają dobro kraju.

Czytuje się często wątpliwości, wyrażane z przekąsem, co do „postępowości“ dra Přikryla, Votruby, ba! nawet samego dra Stranskiego (izraelity), bo zawarł przy wyborach sejmowych kompromis z klerykałami przeciw socyalistom.

Dr Vrtal z Prościejowa zamyślał pierwotnie wstąpić do stronnictwa ludowego, a w końcu... zasiadł w prezydyum podczas zjazdu „klerykalnego“ latem 1908.

„Postępowość“ stronnictwa ludowego wydawała się już dawno podejrzaną, a *Přehled* boi się, żeby „to odium stronnictwa ludowego nie padło na czystą tarczę morawskiego stronnictwa postępowego“.

Połączenie obydwóch stronnictw ma być początkiem „konsekwentnej i energicznej akcyi antyklerykalnej“ na Morawach.

Přehled oddaje katolicko-narodowym pochwałę, że „po socyalistach są klerykali najczynniejszem stronnictwem politycznem; żadne stronnictwo nie dorównuje im ilością zgromadzeń (odbywanych co niedziela i święta)“ — pociesza się jednak, że „na tę ich gadaninę dadzą się złapać tylko najgłupsi“, — ale swoją drogą nie lekceważy „najgłupszych“, skoro pisze równocześnie (5 lutego):

„Czas już zabrać się wreszcie do paraliżowania szalonej agitacyi klerykalnej, żebyśmy z mdłej i wygodnisiowskiej defenzywy przeszli nareszcie do energicznego ataku, do antyklerykalizmu c z y n n e g o. Nowo-powstałe stronnictwo postępowo-ludowe winno to sobie obrać za najprzedniejsze zadanie“.

Naszem zdaniem celem „najprzedniejszym“ k a ż d e g o stronnictwa jest służyć wspólnej sprawie odmienną metodą, a nie tępić któreś z innych stronnictw. Narodowi wszystko jedno, które stronnictwo więcej dla niego zdziała, byle każde działało jak najwięcej.

Wśród walki *Nar. Listów z Dnem* poczęto wydawać tygodnik *Narod,* jako oficyalny organ młodoczeski. W artykule z 5 lutego czytamy tam:

„Jednym z warunków, użyźniającym glebę pod powodzenia klerykalizmu, jest polityka czeska zasadniczo opozycyjna, w danym razie nawet zasadniczo obstrukcyjna. My wiemy dzisiaj, pouczeni nowoczesnemi dziejami czeskiemi, że zasadnicza opozycya i obstrukcya nie były nigdy drogami tej polityki czeskiej, która może przynieść korzyść narodowi czeskiemu i która może kłaść podwaliny ekonomiczne, kulturalne i społeczne pod budowę politycznej samodzielności naszego narodu“.

Narod jest więc przeciwnikiem opozycyi, uprawianej z zasady, a zatem oświadcza się za polityką pozytywną, chociaż czyni to niewyraźnie, drogą tylko pośrednią. Ale... znamiennem jest, o co im właściwie i g ł ó w n i e chodzi. Tytuł artykułu, z którego ten cytat przytoczyliśmy, brzmi: „N i e b e z p i e c z e ń s t w o k l e r y k a l i z m u“, a chodzi o to, żeby wpierw zgnieść „klerykałów“, zanim Czesi przestaną poddawać się „agitacyi żywiołów nieodpowiedzialnych i niesumiennych“, uprawiających politykę opozycyi dla opozycyi. Naród odwróci się po pewnym czasie od tych żywiołów. „Nadejdzie ta doba, ale trzeba, żeby, skoro on nadejdzie, nie mieli z niej pożytku.... klerykali“. (Doba ta přijde, jenže je potřebí, aby až doba ta přijde, netěžili z ní klerikálové).

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe!! Niech Czechy będą ocalone, ale tylko pod tym warunkiem, żeby się tego nie doczekał mój brat!!!

Ależ równouprawnienie! Każde stronnictwo ma prawo rozumować w ten sposób, a w takim razie zasadą publicznego życia czeskiego byłoby b e l l u m o m n i u m c o n t r a o m n e s.

Wśród takich stosunków trudno się dziwić, że kwiat inteligencyi czeskiej usuwa się coraz bardziej od życia publicznego.

Narzeka też *Moravsko-slezská Revue* (zeszyt styczniowy), że „inteligencya, rozwaga, myśl, muszą w polityce tak często ustępować na rzecz braku wykształcenia, terroru, demagogii, połączonych ze stanowczą zaczepnością. Inteligencya, która nie potrafiła postępować również napastniczo, zbierała w życiu publicznem niepowodzenia — czasowe wprawdzie tylko — i z tego powodu powstało zniechęcenie. Jestto stan przejściowy. Polityka nie może poprzestać na sprawach dnia i zajmować się interesami wyłącznemi osób, stanów, powiatów, korporacyj czy stronnictw, ale musi rozwiązywać wielkie zagadnienia ekonomiczne, a oprzeć się na całej kulturalnej wydatności, sile i zdatności narodu. Polityce nie wolno wymijać wyników pracy naukowej, ruchu artystycznego i wogóle kulturalnego, lecz przeciwnie, ona winna z niego wychodzić, a wpływem swym stale go wzmagać i podwyższać. Przy takim zmyśle do spraw kulturalnych znika w narodzie małostkowość i bezduszność, a rodzą się myśli wielkie, czyny wielkie, w takim zaś okresie nie utrzyma się polityka w ręku ludzi małych, niewykształconych, sobkowskich, lecz widzi się inteligencyę wszędzie na przedzie. A w pierwszym rzędzie literatów. Na czele robót politycznych widzimy w okresach pełnych ożywienia i sławy najgenialniejszych autorów narodów. W nieśmiertelnych ich dziełach odźwierciedlają się ich czasy z wszystkiemi swemi dążnościami politycznemi i ekonomicznemi".

Krótki ten przegląd czeskiej dezorganizacyi politycznej stwierdza, że Czesi nie są obecnie przygotowani do stoczenia walnej rozprawy z prądem centralistyczno-germanizacyjnym, a zanim coś takiego zaryzykują, powinniby wpierw sami dojść z sobą do jakiegoś ładu i składu politycznego.

Dnia 12 lutego pisał w *Přehledzie* dr. E. Chalupný: „Po czasowem niepowodzeniu polityki pozytywnej ożywił się radykalizm opozycyjny; ale w owych szerokich warstwach, które go dziś uprawiają, nie jestto programem, jak np. u dra Antoniego Hajna, ale tylko nastrojem, który spełni swe zadanie i przeminie, ażeby po niedługim czasie ustąpić nowemu atakowi polityki pozytywnej. Politycy nasi mają i będą mieli z tem ciężkie kłopoty, ale niema na to sposobu. Największa

trudność w tem, że masy nie rozróżniają programu, taktyki i nastroju; ale pomimo wszystko niema wątpliwości, że robimy postępy i że era opozycyjna, która teraz nastała, jest właśnie przydatnym biczem, popędzającym nieczułych i wygodnisiów do większej czynności. Narodowi nie grozi żadna katastrofa; atak rządu i Niemców w sprawie językowej jest na razie odparty i nastaje znowu pora niezorganizowanego sporu o sądy, poczty i inne urzędy.

„Niechajże wszyscy powołani przyłożą ręki do akcyi, niech w miarę swych wpływów przeprowadzają § 19 o równouprawnieniu językowem, zyskując w ten sposób nowe punkty kompensacyjne dla przyszłego pokoju. Rozwój nasz wymaga prowizoryum, któreby trwało aż do chwili, kiedy jako rozwinięta wszechstronnie i rozstrzygająca w Czechach i na Morawach większość będziemy mogli dyktować Niemcom warunki pokoju językowego w całem państwie.[1]) Długo jeszcze będziemy znosić utrapienia tego prowizoryum, ale tylko wytrwałością w każdej sytuacyi zdobędziemy dla siebie i innych Słowian w Austryi równość i wolność, a dla Niemców — trochę rozumnego umiarkowania. Cierpimy za to, że jesteśmy główną dźwignią postępu narodowościowego w tem państwie".

Myśl o owem prowizoryum trzeba nazwać istotnie złotą. Obecnie odraczanie stanowczej rozprawy może wyjść Czechom tylko na dobre.

Każdy Polak będzie pragnął gorąco, żeby to prowizoryum mogło trwać jak najkrócej. My wiemy dobrze, że w Pradze tkwią nasze polskie realne interesy. Sytuacya w Pradze pozostaje w związku z sytuacyą w Warszawie; prąd antyczeski w Wiedniu łączy się z antypolskim; nieufność do Czechów ścieśnia węzły łączące Wiedeń z Berlinem i zbliża Prusaków do Warszawy.

I wzajemnie: rusyfikacya idzie ręka w rękę z germanizacyą; Rosya oficyalna, uciskająca Polskę, radaby rzucić się na Austryę, ale w Berlinie upatruje swego przyjaciela i opiekuna. Prusy stają się arbitrem pomiędzy państwami ościennemi i dyktują Austryi warunki, wśród których na pierwszem miejscu jest oczywiście ten, żeby Czesi nie byli gospodarzami we własnym kraju...

[1]) podkreślenie oryginału.

Tak ściśle połączone są sprawy Pragi i Warszawy. Wiedzą o tem w Krakowie, odczuwają to w Warszawie, ale Czesi nie mają czasu o tem myśleć, bo są zajęci wielką kwestyą „polityczną“, czy godzi się ochotnicznym strażom pożarnym asystować przy uroczystościach kościelnych (sic!).

Kiedy ważą się losy Europy, Czesi grzęzną w politycznej parafiańszczyźnie. Kiedy rozstrzygają się sprawy narodów, Czesi nie mają w parlamencie reprezentacyi ogólno-narodowej — bo nie mogą ścierpieć różnicy zdania w kwestyach n i e p o l i t y c z n y c h, wyznaniowych czy bezwyznaniowych.

Ludzi myślących poznaje się po tem, że każdy z nich myśli po swojemu, a pomimo to ł ą c z ą s i ę, gdy zmierzają do tego samego celu. Ponieważ nieróżniących się w sposobie rozumowania znaleźć można tylko pomiędzy bezmyślnymi, trzeba — chcąc mieć przyjaciół politycznych — dać im dyspenzę od wymagania, żeby mieli mózgi na jedną modłę; wystarcza wspólny cel. Tak stanowi elementarz polityczny.

Wspólność programu narodowego nie polega na wspólności formułek, wiodącej nieodzownie do jednostajności. Jestto doktryna tak dziwna, że niesposób pojąć, jak mogą Czesi grzęznąć w niej tak długo z powszechną szkodą. Jedność nietylko nie wymaga jednostajności, ale właśnie rozbija się zazwyczaj o tego rodzaju dążenia. N i e m o ż e b y ć j e d n o ś c i p o m i ę d z y C z e c h a m i, p ó k i z a c h c i e w a s i ę i m j e d n o s t a j n o ś c i.

Brak tolerancyi jest zawsze prostą drogą do anarchii. Czem grubsza nietolerancya panuje między stronnictwami czeskimi, tem więcej musi się tworzyć tych „stronnictw“, a w końcu tem bardziej rozpocznie się polityczne wyrywanie się na własną rękę.

W niniejszej dobie trzeba Czechom j e d n o ś c i (nie jednostajności!) tak bardzo, tak naglące, jak nigdy jeszcze za czasów konstytucyjnych, a to dlatego, że dobro ich zawisło od stosunków zewnętrznych, a te przechodzą właśnie przez przesilenie.

Myśl czeska powinna pracować z całych sił nad wytworzeniem programu zewnętrznego. Niestety, w tym kierunku nie robi się niemal nic. W ciągu czterech lat spotkaliśmy się z dwoma projektami, o których musimy — niestety — powiedzieć, że jeden gorszy od drugiego. O niefortunnym pomyśle „czesko-madiarskiej kooperacyi“ (popieranym namiętnie przez *Narodni*

Listy) pisaliśmy obszernie w zeszytach z sierpnia i września 1906 roku. Obecnie mamy do zanotowania pomysł wznowienia... sojuszu trójcesarskiego Austryi, Rosyi i Niemiec.

Nový Věk ogłasza w Nrze 20 z dnia 12 lutego artykuł wstępny pod tytułem „Na nové dráhy!", w którym wywodzi, że równouprawnienie Słowian nie da się przeprowadzić, bo przeszkadza temu wpływ Niemiec, a zatem...... trzeba pozostać w sojuszu z Niemcami, przybrawszy do trójprzymierza i Rosyę, jako protektorkę Słowian, jako przeciwwagę protektorstwa niemieckiego. Trudno przypuścić, żeby się dało pozbyć przymierza pruskiego, bo „Niemcy austryaccy podjęliby walkę na zabój o zachowanie dotychczasowego swego protektora, jako sojusznika Austryi". „Nie będzie zbyt trudno rozejść się z Włochami; być może, że Włochy same to ułatwią, aż będą uzbrojone. Rosya nie powinnaby też łez ronić nad Francyą. Nie należy do przyjemności pobyt koło składu dynamitu, a Francya, korupcyjna i wiecznie rewolucyjna, nie jest najlepszym sprzymierzeńcem. Dziś potrzebuje wprawdzie Rosya jeszcze finansistów francuskich, ale państwo, pełne takiej obfitości skarbów, uwolni się z czasem i od tego skrępowania".

Co za naiwność! Nie znają oczywiście ani Francyi, ani Rosyi, skoro im się zdaje, że w Rosyi jest mniej korupcyi i dynamitu. „Obfitość skarbów" — to sprawa przyrodnicza, ale żeby „tak bohaté poklady" mogły mieć znaczenie choćby ekonomiczne, a cóż dopiero polityczne! — do tego trzeba człowieka; tego zaś w Rosyi brak dotkliwy. Odejmijmy w rachunku od Rosyi Polskę, Finlandyę i Kaukaz, a pokaże się, że jeden departament francuski posiada więcej twórczości i wytwórczości, niż cała Rosya.

Co zaś do „protektoratu" Rosyi nad Słowianami, toć oczywisty lapsus calami. Prosimy tylko o odpowiedź na jedno pytanie :

Gdzie Słowianie bardziej są uciskani, w Rosyi, czy w Austryi?[1])

Rosya jest państwem antysłowiańskiem, a dwór carski największym przyjacielem Prus. Sojusz „trzech cesarzy" byłby okresem reakcyi i antyslawizmu.

---

[1]) Szanowny autor artykułu wybaczy łaskawie, że pozwolimy sobie uważać Polaków także za Słowian? I Rusinów też.

Artykuł *Nověho Věku* zawiera sporo jeszcze innych naiwności, które już pominiemy, a zaznaczymy natomiast, jakie jest polskie zdanie w tej sprawie:

Świat Słowiański oświadczył się od samego początku za sojuszem Austryi z Rosyą (i z Francyą i z Anglią), w tej myśli, że należy dążyć do tępienia wpływów berlińskich i w Wiedniu i w Petersburgu; program ten jest dziś przyjęty już w całej Polsce. Nie liczymy przy tem na wpływ Rosyi na Austryę, lecz odwrotnie. Gdyby się bowiem udało poderwać w Wiedniu wpływ pruski, a wzbudzić zaufanie do prądu słowiańskiego (jako niezmiernie korzystnego dla dynastyi), podniósłby się w Wiedniu wpływ słowiański, położyłoby się koniec antipolskiemu (i anticzeskiemu i antijugosłowiańskiemu) kursowi wiedeńskiej polityki, a gdyby pozyskany tak dla Słowian Wiedeń zawarł sojusz z Petersburgiem, mógłby wywrzeć nad Newą wpływ w kierunku słowianofilskim. Jak najściślej łączą się tu interesy polskie z czeskiemi.

Można wątpić, czy Niemcy austryaccy podjęliby „walkę na zabój“ o utrzymanie przymierza pruskiego. Imię pruskie nie jest bynajmniej popularne wśród ludu niemieckiego w Austryi; do niedawna jeszcze było znienawidzone. Czeska niepraktyczność w polityce poprawiła wprawdzie bardzo szanse prusofilstwa w Austryi, ale nie wszystko jeszcze popsute. Z Niemcami uznającymi austryacki patryotyzm dojdziemy w końcu do porozumienia. Poprzestaną na równouprawnieniu; jedni dla idei, w imię szczytnej misyi historycznej, drudzy zaś, żeby ocalić się ekonomicznie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zadanie pozyskania tych Niemców austryackich przypadnie Polakom. Do tego jednakże jeszcze — niestety — daleko; przedtem musimy wytworzyć i rozpowszechnić program polityczny dla samej idei słowiańskiej i pozyskać dla niego pobratymców[1]).

Z tego powodu śledzimy bacznie programy, pojawiające się gdzieindziej, a zwłaszcza u Czechów. Projekt sojuszu trójcesarskiego (wznowienie „świętego przymierza“, zapisanego tak smutnie na kartach dziejów!) uważamy za taką samą ekstrawagancyę, jaką był pomysł „kooperacyi czesko-madiarskiej“ i za nowy tylko dowód rozstroju politycznego u Czechów.

---

[1]) Por. artykuł „Polacy wśród Słowian w Austryi“ w zeszycie z sierpnia 1907.

Nie tracimy nadziei, że dojdzie w końcu do porozumienia pomiędzy pp. Kramařem, Hrubanem, Praškiem, Masarykiem i Hajnem, lub ich następcami; że wytworzy się nowa organizacya polityczna z osób, które należały dotychczas do rozmaitych pseudo-stronnictw, opartych na podstawach i hasłach całkiem niepolitycznych, a więc nie mających racyi bytu; że kwestya bezwyznaniowości przestanie może nareszcie stanowić dla umysłu czeskiego moment polityczny; a wtenczas ujrzymy wspólną ogólno-narodową reprezentacyę czeską w parlamencie i wyłoni się czeski program polityki zewnętrznej, do którego zastosuje się wewnętrzna.

Kto tego dokona — wszystko jedno, byle dokonanem było.[1])

Feliks Koneczny.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Ruski klub parlamentarny ogłosił bezwzględną opozycyę względem rządu, ponieważ zaraz na początku nowego gabinetu br. Bienerth oświadczył, że nie myśli nikomu poczynić żadnych ustępstw narodowych. *Bukowyna* twierdzi, że br. Bienerth jednak tylko wobec Rusinów stosuje swą teoryę, bo, gdy daremno proszą choć o jedno gimnazyum, Polacy z łatwością otrzymali sześć nowych (sic! gdzie?), które mają być otwarte z nowym rokiem szkolnym. Nie można się więc dziwić taktyce ruskiego klubu, ale z drugiej strony; „koły możływo bude osiahnuty umow dla nacyonalnoho i kulturnoho rozwutku yńszoju dorohoju, jak opozycyjnoju, to my ne wydymo pryczyny, czomub nam ne stupyty na nej“.

W organach ukraińców panuje radość z powodu rozdwojenia i niesnasek w stronnictwie moskalofilów. *Bukowyna* omawia te sprawy rozwlekle. Ale dowiadujemy się z niej, że kłótnie wśród „Starych“ i „Młodych“ moskalofilów trwały już dawno, a chodziło tu o czysto osoblste, materyalne korzyści. „Młodzi“ zarzucali przytem „Starym“ rutenizm, a „Starzy“ „Młodym“ pajdokracyę itd. Nareszcie po niefortunnej mowie posła Korola w sejmie, należącego do odłamu „Starych“, stosunki między obu obozami zaostrzyły się na dobre. Gdy po sesyi posłowie moskalofilscy spieszyli złożyć sprawozdania ze swej działalności na ręce mężów zaufania stronnictwa, a następnie miał się odbyć wybór nowego zarządu, wtedy „Starzy“ nie pozwolili „Młodym“ przybyć do Lwowa, dzięki czemu Dudykewycz wraz z swą kliką dostał się do zarządu. Na to oba odłamy uderzyły w lament. *Ruś*, organ „Młodych“, kpi i szydzi z własnych posłów, a *Gałycza-*

[1]) por. artykuł p. t. Slovanská Jednota na czele Kroniki niniejszego zeszytu.

nyn, organ „Starych“, „płacze“ i narzeka, w odstępach między złością i żałością dokuczają sobie i wyzywają się nawzajem do woli. *Bukowyna* jednak nie bierze tego wszystkiego na seryo. Twierdzi bowiem, że jeśli „Starzy“ przypuszczą „Młodych“ do udziału w korzyściach, zgoda nastanie natychmiast, i „Młodzi“ chętnie popadną w te błędy, jakie dziś „Starym“ zarzucają.

Sprawie radykalizmu na Bukowinie poświęca *Bukowyna* trzy z rzędu długie a dosadne artykuły. Twierdzi, że radykalizm nie posiada tam żadnych żywotnych podstaw, skoro musiano *Narodną Sprawę* zamienić na kwartalnik. Jej miejsce zajął nowozałożony *Hromadjanyn*. Koło niego skupiły się najmłodsze siły radykałów, ażeby piętnować postępowanie polityczne ludzi starszych i doświadczonych. Co nie jest głośnem, co nie jest bezwzględnie nowem i „postępowem“, to jest w oczach *Hromadjanyna* złem i błędnem, a zasadą jego walka i podjudzanie dzieci przeciw ojcom. Radykalizm zrodził się w Galicyi „pid obuchom polskoho panowania“ i jak wszystko, co skrajne, pociągnął za sobą młodzież, która odczuwając „wdwoje tjaższe krywdy“, marzyła o uwolnieniu narodu z pod ciężkiego jarzma. Rychło jednak polityka radykałów zbankrutowała, a stosunki na Rusi, zamiast się polepszyć, pogorszyły się tylko. I wtedy radykali schronili się na Bukowinę i chcą pracę swą rozpocząć na nowo. *Bukowyna* jednak ostrzega przed nimi: „Ne pora Rusynam diłyty sia na partyi“, bo są jeszcze za słabi i powinni wspólnie pracować dla dobra kraju; zanim przystąpią do polityki radykalnej, muszą wzróść w siły na wewnątrz i zewnątrz; nie pora wreszcie wyrzucać starszym ich błędy, ale trzeba iść z nimi i łączyć się w dobrem.

We Lwowie toczyła się rozprawa przeciw jakiemuś złodziejowi. Protokół, mimo wyraźnego żądania ze strony zasądzonego, spisano po rusku. Sprawę tę podniósł *Dziennik polski* i zażądał ostrej dyscyplinarki przeciw sędziemu Rusinowi. Ale za sędzią ujął się energicznie *Rusłan* i w dwóch długich artykułach piętnuje niesprawiedliwość i samowolę sądów galicyjskich, które protokoły, zamiast po rusku, spisują po polsku. Wyraża nadzieję, że Austrya „duże doroha dla nas, bo mnoho krowy za nju prolały dity ruskoho naroda“, ujmie się za Rusią. „Ruskyj narod ne znaje nijakoj, ani religijnoj, ani rasowoj nenawysty, je aż do peresady tolerantnyj“, ale nie może na to pozwolić, by „na jeho własnij zemli“ przychodnie „nadużywały praw hostynnosty“ ze szkodą prawnych właścicieli.

Kijowska *Rada* zamieściła bardzo ciekawy artykuł, zatytułowany: „UkraińStwo i joho spilnyky“, a omawiający stanowisko Ukrainy wśród Słowian. Co chwila w prasie pojawiają się żale, że Rusini usuwają się od Słowian, ale oni przecież nie mogą się łączyć ze swymi wrogami. Wrogą im jest Rosya i Polska, a Czesi zajmują się Ukrainą o tyle tylko, o ile im to przyniesie jaką korzyść. Rusini więc uważali się słusznie za całkiem osamotnionych i dopiero prof. Hruszewśkij, w *Literaturno-naukowym Wiestniku* wykazał, że tak nie jest, że mogą liczyć na dwóch sojuszników: Białorusinów i Litwinów[1]). Nie jest to wcale nowym pomysłem,

---

[1]) a p. Feldman *(Krytyka)* liczy na Rusinów i Litwinów, właśnie jako na sprzymierzeńców sprawy polskiej.

jak dowodzi *Rada*, bo już i Dragomanow myślał o tem, a w Petersburgu studentów uniwersyteckich tych trzech narodów zawsze łączyły stosunki serdeczne i życzliwe; nie zajęto się jednak sprawą tą bliżej i zamysły poszły w zapomnienie. Dopiero teraz mogą się znowu odnowić, tembardziej, że mają wszystkie dane powodzenia: bo interesy tych ludów są wspólne, a łączy je kultura i tradycya. Należy się tylko zabrać szczerze do pracy, najlepiej byłoby — sądzi *Rada* — gdyby założono wspólny dziennik, wydawany w języku rosyjskim, a mający na celu szerzenie tej idei i zaznajamianie szerokich warstw z potrzebami i całem życiem przyjaznych sobie ludów. Zachodnią Europę informuje stale o Rusi i Białejrusi *Ukrainische Rundschau*, a oni informowaliby Wschód. (Artykuł ten prof. Hruszewskiego wyszedł też równocześnie w *Ukrainische Rnndschau*).

Taż *Rada* przepowiada, że wobec zachowania się dzisiejszych Polaków, dzieci ich będą się ich wstydzić i żałować, bo każde ich dzieło jest obliczone „na krywdu socijalno-ekonomycznu, politycznu i kulturnu trudjaszczych mas ukraińskoho narodu". Polskie społeczeństwo w sprawach ruskich jest jakby zahypnotyzowane, tak, że nie można z nimi nawet polemizować porządnie; niechno bowiem ktoś z nich zacznie się budzić, to jedno słowo hypnotyzera-życia ich wystarczy, by go na nowo we śnie pogrążyć. Ale gdy w *Dzienniku Kijowskim* pojawił się artykuł o Rusinach, któremu sama *Rada* przyznaje, że pisany był do podziwu spokojnym tonem, powiada na to *Rada*: „...sej spokijnyj ton, takyj nezwyczajnyj w ustach polskoho szowinista, koły win howoryt po polśko-ukraiński widnosyny w Hałyczyni..... nawodyt na de-jaki nepewni dumky".

Z *Rady* dowiadujemy się, jak cenną dla Rusi jest *Ukrainische Rundschau*, ta „ukraińska trybuna w Ewropi". *Ukrainische Rundschau* samą nazwą swoją świadczy o istnieniu „ukrainskoj narodnosty" i gdyby nie ona, do dzisiejszego dnia nicby Europa o Rusinach pewnego nie wiedziała. Jest ona najszczerszem echem swego społeczeństwa. Z chwilą, gdy Rusini poznali, że w życiu znaczy najwięcej odwaga i zuchwałość, że obowiązkiem każdego jest walka o swe prawa, gdy przez to zaczęto na nich zwracać coraz większą uwagę, stała się *Ukrainische Rundschau* doskonałą pośredniczką, tłumacząc każdy krok i wyjaśniając wszelkie sytuacye. Tak to było np. podczas zjazdu praskiego, gdy Rusini przez nieobecność swą, przez ten krok „duże rozumno obdumanyj i w naslidkach swojich ważnyj", zyskali więcej, niż gdy setki posłów za nimi przemawiało. Tak więc całą życzliwość prasy, przedewszystkiem niemieckiej, także szwajcarskiej i amerykańskiej, zawdzięcza Ruś tej *Ukrainische Rundschau*, która tak doskonale potrafiła zedrzeć maskę z Polski i Rosyi przed Europą i okazać je w świetle prawdy.

W *Ridnym Kraju* pojawił się artykuł p. t. „Neobaczna rada", nawołujący Rusinów do zajęcia się Chełmszczyzną. Ziemia chełmska może być z łatwością na zawsze zgubiona dla Rusi, bo widząc, że naturalni opiekunowie zaniedbują ją i wydają na łup Rosyi, zwróci się do Polski. Polacy od dawna zajmują się szczerze Chełmszczyzną i Rusini powinni brać sobie z nich przykład. Biskup chełmski Jewłogij (Eulogiusz), rozumiejąc dobrze stan rzeczy, zaprosił studentów chełmskich, ukraińców, żeby, choć w polityce są mu przeciwni, zabrali się do wspólnej z nim

pracy nad odrodzeniem Chełmszczyzny. *Rada* wystąpiła przeciwko temu. W odpowiedzi na to stara się *Ridnyj Kraj* wykazać całą nieroztropność *Rady*: można być bowiem odmiennych przekonań, ale jeśli zgadza się ze sobą choć w najogólniejszych zasadach, to można i powinno się pracować wspólnie i tak też czyni każdy rozumny naród.

Czytamy w *Zemli* i *Woli*: „Jesteśmy proszeni o umieszczenie, co następuje: Byliśmy świadkami nie bardzo przyjemnego zajścia w „Narodnej Hostynnyci" po ukończeniu oświatowo ekonomicznego kongresu. Między redaktorem *Hromadśkoho Hołosu* Mychajłem Wyniarskim, a pewnym udoktoryzowanym posłem, którego nazwiska na razie do publicznej wiadomości nie podajemy, toczyła się żywa „dyskusya" i to tak żywa, że zwracała uwagę innych gości. „Kulturne" słowa sypały się, jak z rękawa, a koroną „dyskusyi" była podniesiona ręka p. posła i jego silny głos: „Jak was..." — ale nie skończył, bo p. Wyniarskij przerwał mu takim samym ruchem ręki i słowami: „A ja wam widdam..." Wywołało to słuszne oburzenie obecnych, którzy spodziewali się od pana posła bodaj trochę taktu. Tę notatkę zamieszczamy na usilną prośbę, pochodzącą ze sfer radykalnych. Krążą pogłoski, że obecny redaktor *Hrom. Hołosa* ustępuje, gdyż nie chce umieszczać paszkwilów na socyalnych demokratów, a na jego miejsce przyszedłby p. Wesołowskyj, obecny współpracownik *Diła*. *bk.*

Prasa **rosyjska** zajęta była niemal wyłącznie zmieniającemi się z dnia na dzień kombinacyami wojennemi, czego echa dochodziły stale do prasy polskiej, tak, że miesięcznik uwolniony jest od tego „przeglądu".

Na jeden fakt, blizko nas obchodzący, zwrócimy tylko uwagę:

W dniu 12 lutego w przepełnionej studentami sali aktowej uniwersytetu petersburskiego, prof. A Pogodin miał swój pierwszy wykład na temat: „Słowiańszczyzna i Rosya".

Na początku swej prelekcyi prof. Pogodin zaznaczył, że z wielką radością, po sześcioletniej walce w uniwersytecie warszawskim, znalazł się znowu w swej alma mater.

— Rosyanin powinien znać sprawę słowańską — zaczął profesor, — niestety, tak nie jest. W Rosyi, naprzykład, niewiadomo, dlaczego łączą stare reakcyjne słowianofilstwo z neoslawizmem. Neosłowianofile pragną kroczyć razem ze światem romańskim i niemieckim i dążą do podniesienia poziomu kulturalnego Słowian. Rosya ma tylko jednego wiernego przyjaciela — Słowian. Wiek XX powinien być wiekiem Słowiańszczyzny. Kiedy 40 lat temu Polskę zmiażdżono i zdawało się, że nie można spodziewać się jej odrodzenia, — ona jak Feniks powstała z popiołów i wzbogaciła świat swą literaturą klasyczną. Daremne są wszelkie zabiegi uciskania jednej narodowości, tępienia drugiej i podnoszenia trzeciej — kosztem dwóch pierwszych. Kwestya narodowościowa w Rosyi może być wogóle rozwiązaną dopiero wtedy, kiedy Polacy, Ukraińcy i inne ludy słowiańskie, zaludniające Rosyę, przestaną być parjasami.

Prelekcyę prof. Pogodina przyjęto grzmotem oklasków.

Przegląd prasy **czeskiej** z ostatnich tygodni znajduje się pośrednio w artykule niniejszego zeszytu: Rozstrój polityczny u Czechów. Z całą bezstronnością cytujemy tam pisma rozmaitych obozów, jednako wytykając każdemu błędy i jednako uznając w każdem, co w niem znaleźlliśmy dla dobra publicznego pożytecznego, zawsze rem spectantes, non auctorem.

W ostatniej chwili wypada nam dopisać, że *Narodní Listy* zamieściły w Nrze 57 artykuł wstępny o sporze polsko-czeskim w Cieszyńskiem, mądry i sprawiedliwy. Występują ostro przeciw Wydziałowi, gminnemu w Polskiej Ostrawie, a co do czeskiej szkoły realnej w Orłowej, zwracają uwagę, że ma być założona z funduszów prywatnych; niechby sobie Polacy założyli także swoją prywatną szkołę realną, nikt nie będzie tego uważał za krok anticzeski.

Styczniowy zeszyt *Volné Myšlenky* (tosamo, co warszawska *Myśl niepodległa)* zajmuje się obszerniej prasą „klerykalną" na Morawach, której „zgnębienie stanowiłoby 90% postępu, bo gdyby nie ta prasa, lud morawski, „dzięki swej wytrwałości, wzniósłby się na najwyższy szczebel kultury w Austryi. Naród czeski traci miliony przez wpływ księży, bo na dziś zagarnął sobie Morawy Rzym".

Prasa **słowacka** wzbogaca się nader pożądanym nabytkiem:

W Preszburgu począł wychodzić *Slovenský Máj*, obrazkový časopis pre zábavu a poučenie ľudu, jako dwutygodnik z dodatkami *Škriatok i Ľudová Knižnica,* pod redakcyą Jana Chrobačinskiego (adres: Pozsony, Széplak - utca 28; prenumerata roczna 2 korony, z dodatkami 4 K. 60 h.). *Knižnica* da co miesiąc pożyteczną książeczkę. Pierwsza z nich, p. t. Čo treba vedeť každemu Slovákovi, zawiera na 19 stronach druku pewnego rodzaju „katechizm narodowy, który każdy Słowak powinienby umieć na pamięć".

Nie udało się ustanowić **chorwackiej** Rady Narodowej dla spraw chorwackich w obydwóch połowach monarchii, która byłaby wyrazem wszystkich stronnictw chorwackich — bo odmówiła udziału w tem przedsięwzięciu grupa Franka „czystego stronnictwa prawa". Zjednoczyły się atoli wszystkie chorwackie i serbskie stronnictwa, pragnące pozbyć się niekonstytucyjnych rządów bana Raucha, i wydały odezwę, podnosząc hasło powszechnego głosowania, a zobowiązując się zarazem do wytrwania w walce przeciw banowi, za którego rządów nie zwołano sejmu przez cały rok, a urzędy nie troszczą się o ustawy, gwałci się nietylko wolność słowa, ale nawet wolność osobistą. Większą połowę niedługiego tekstu tej odezwy skonfiskowano we wszystkich dziennikach, które ją ogłosiły.

Podpisały odezwę: „stranka prawa", ale nie „czysta" (Tuškan i Lukinić), serbscy „samostalci" (Dr. Medaković i Svetozar Pribičević), chorwaccy „napredniacy" (postępowcy Dr. Lorković i Dr. Šurmin), Klub autonomiczny (hr. Mirosław Kulmer i Milan Rojc) „seljačka pučka stranka", (stronnictwo chłopskie, Stjepan Radić i Lovreković), tudzież socyaliści (Korač i Bukšeg), a za posłów pozostających poza stronnictwami Fr. Supilo.

Przyjemnie było czytać w Nrze 6 *Slobody* z 12 lutego artykuł wstępny p. t. Narodna misao prema državi (Myśl narodowa wobec monarchii), który napisany jest tak zupełnie w myśl programu *Świata Słowiańskiego*, jak gdyby wyszedł z naszego biura. Przytaczamy go tu w całości:

„Myśl wypowiedziała się: albo przyciągniemy do siebie Serbię i Czarnogórze, albo przyciągną one nas ku sobie.

„Laginja wyrzekł to w parlamencie wiedeńskim, a ci, których to dotyczy, mogli go zrozumieć należycie. To ich rzecz. A my możemy powiedzieć, że to jest ostatnie stadyum w rozwoju naszej polityki narodowej. — Duch całości przemówił przez usta Laginji, toteż my wszyscy dostrzegliśmy w tej myśli myśl własną. Odczuliśmy, że spełniła się ewolucya myśli o bycie i powołaniu naszego narodu — a teraz chodzi o jej uskutecznienie.

„Nie sądzimy, jakoby nowy kurs wytworzył „myśl narodową". Nie, on sam jest tylko jednem stadym w jej rozwoju, podobnież jak illyryzm, idea wielkochorwacka, wielkoserbska i serbochorwactwo. Gdyby nie to wszystko, nie bylibyśmy jej dziś jeszcze mieli. Toteż niewłaściwie mówi się o błędach poszczególnych tych przejawów myśli narodowej w jej rozwoju. Wszystko według czasów i w swoim czasie! Okoliczności z zewnątrz narodowego ducha mogą rozwój myśli ułatwić lub utrudniać, ale nigdy pogrześć.

„Jeżeli zaś rozważymy dobrze illyryzm, ideę wielkochorwacką z hasłem: „Bóg i Chorwaci", wielkoserbską z hasłem: „Serbowie wszyscy i wszędzie", — spostrzeżemy, że istota tego wszystkiego jedna i tasama: dążność do zjednoczenia całego narodu jednego języka.

„Tendencya ta przybierała rozmaite postacie obce i nie dla każdego działania narodowego stosowne. Ma się tu do czynienia z owemi kolejnemi natchnieniami każdej wielkiej myśli i dążności, która poczęta wśród niejasnych wyobrażeń, porządkuje się wśród ciągłych obrotów, aż się uporządkuje i zjedna sobie ogół.

„Rozwój naszej myśli narodowej dobiegł do mety. My wszyscy, którzy mówimy tym samym językiem i żyjemy na nieprzerwanem terytoryum, powinniśmy być zjednoczeni pod każdym względem. To może się opóźnić, utrudniać, ale nie da się żadną miarą unicestwić. Nikt nie podoła sile żywiołowej, a to jest taką siłą, potęgą. W stosunkach ludzkich znaczy się ona ideą. A chcąc złamać pewną ideę, trzeba umożliwić rozwój drugiej, takiej, któraby kryła w sobie wyższą siłę.

„Taki przewrót może nastąpić łatwo w świecie myśli etycznych, ale w dziedzinie świadomości narodowej natenczas tylko, kiedy przechodzi z węższego kręgu na szerszy. Albowiem przebyliśmy i to; zakres sprawy narodowej rozszerzyliśmy z Trójjedynego Królestwa na całość tego samego języka.

„My sami winniśmy przedewszystkiem być tego świadomi; a obok nas i ci, którzy sądzą, że my jesteśmy na wieki niewolnikami, do targów. My nie pragniemy, ani nie chcemy zakładać naszej wolności na cudzych ruinach; ale też nie chcemy, ani nie możemy ocalać cudzych ruin kosztem naszej wolności. Ale o to nie możemy być zdrajcami stanu; o to nie mo-

żemy ciążyć poza granicę, bo myśl narodowa granic wogóle nie zna. Ona jest sama przez się prawną, skoro objęła cały naród — a nieprawnie działają ci, którzy chcieliby rozerwać to zjednoczenie myśli, pragnęliby oznaczyć mu granice.

„Bezprawność ich graniczy z bezrozumnością, bo chcą czegoś, co jest niemożebne. Kto chce zatrzymać nawałnicę morską? Stawiajże tamy; nie starczy ci czasu.

„Dlaczego sprawujący rządy nie liczą się z tą prawdą? Może sobie p. Aerenthal sypać jeszcze jedną tamę, może wymyśli jeszcze jedną sprawę o zdradę główną, ale osięgnie tem wszystkiem wręcz przeciwne wyniki. Trzeba tylko, żeby wszyscy odczuli i zrozumieli, że ani w Serbii nie da się utrzymać propaganda wielkochorwacka, ani w Chorwacyi wielko-serbska. I tu i tam może się przyjąć tylko propaganda narodowa, a jeżeli komuś zachce się nazwać to nielegalnem i więzić za to, ten niechajże zda sobie dobrze sprawę z tego, że trzebaby wziąć pod klucz cały nasz naród i skazać go na śmierć, jeżeliby się chciało uniemożliwić tę „nielegalność".

„Ale nie należy sądzić, jakobyśmy istotnie mogli winić osoby będące u steru rządów. Nie, oni nie winni, że muszą postępować tak, jak postępują! oni nie winni, że nasza idea narodowa nie może się pogodzić z obecnym ustrojem państwa; podobnież, jak my nie jesteśmy winni, że dwie te siły kollidują. Możemy natomiast stwierdzić, że wszyscy ci synowie naszego narodu, którzy przyczyniają się w jakikolwiek sposób do podtrzymania dzisiejszego ustroju państwowego, dopuszczają się na własnym narodzie zdrady nie do darowania. Zadaniem nas wszystkich, a w pierwszym rzędzie posłów naszych, jest, żeby burzyć i zburzyć ten ustrój.

„Podnosimy to ze względu na nasz interes, który jest jednak pośrednio również interesem państwa. Albowiem mamy głębokie przekonanie, że jeżeli ustrój państwa nie zmieni się w ten sposób, żeby mógł pozostawać w zgodności z naszą ideą narodową, natenczas idea ta, gnieciona i usuwana, wybuchnie z taką siłą, jakiej nie widziała Europa od czasów zjednoczenia Włoch.

„A co potem? Niechaj odpowiedzą ci, którzy nie mogą się w nas dopatrzeć narodu; ci, którym się zdaje, że my tu jesteśmy tylko dla kogoś innego".

Artykuł ten datowany z Dubrownika 9-go lutego 1909, ma wartość trwałą.

Całą prasę **serbską** streścić można teraz w jednem zdaniu: Wojna być musi, Austrya będzie z pewnością pokonaną, bo w ciągu wojny znajdziemy sprzymierzeńców.

Redaktor i współpracownik gazety *Srpska Riječ*, Omčikus i Jugović, o których skazaniu na rok i 7 miesięcy więzienia donosiliśmy w zeszłym zeszycie, zostali uniewinnieni przez apelacyę. A więc, chwała Bogu! — il y a encore de juges en Bosnie — i melius sero, quam nunquam.

Recenzye i sprawozdania.

Konstanty Kościński: *Idea słowiańska na Kaszubach.* Szkic historyczny. Poznań 1908, w 16-ce, str. 27.

Tytuł za obszerny; rozprawa nie przedstawia bowiem toku „idei słowiańskiej" na Kaszubach, lecz po prostu przebieg sprawy, czy Kaszubi mają uważać się za osobny narodek, czy też za lud polski.

Właściwościami etnograficznemi i językowemi Kaszub zainteresowali się pierwsi Rosyanie, a mianowicie w latach 1825—1840 hr. Mikołaj Rumiancow i minister oświaty Aleksander Szyszkow. Popierali studya Mrongoviusa i Juliana Preisa, dostarczając im nieraz środków materyalnych na zbieranie materyałów. Usiłowania ich miały „cechę teoretyczną, wywiadowczą i naukową". Szyszkow uważał mowę Kaszubów za narzecze rosyjskie, bo sądził tak samo o wszystkich językach słowiańskich, a Preis musiał go dopiero pouczać, że „język kaszubski żadnego nie ma podobieństwa do rosyjskiego, a cały układ jego, cała budowa przekonują, że jest gałęzią mowy Lachów". Hasło narodowej odrębności Kaszubów wydał dr. Ceynowa, który w r. 1846 brał czynny udział w spiskach polskich i skazany za to na śmierć zawdzięczał ocalenie wybuchowi rewolucyi 1848 r. Ten w r. 1850 wystąpił pod pseudonymem Wójkasina, wydawał potem kaszubskie druki i próbował seperatystycznej propagandy — zupełnie bezskutecznie. Na koszta druku dziełek kaszubskich dostarczali mu środków uczeni Rosyanie i Czesi; był to niejako eksperyment naukowo-etnograficzny. Propagandy politycznej, „moskalofilskiej", antypolskiej — ani śladu; wszak sam Ceynowa, chociaż nie uważał się za Polaka, pozostał zawsze polonofilem. — Aleksander Hilferding był uczonym historykiem, specyalistą do historyi walki o dominium maris baltici; byłoby więc dziwnem, gdyby się nie był interesował Kaszubami. Niema w tem nic „moskalofilskiego", że go Ceynowa przyjął u siebie gościnnie w r. 1858.

Niema w tem wogóle nic dziwnego, że zajmowali się Kaszubami uczeni czescy i rosyjscy; ale to dziwne, że nie zajmowali się nimi uczeni polscy! Tak należy odwrócić tę sprawę! Mrongovius, Preis, czy Ceynowa, powinni byli dostawać subwencye od rządu Królestwa Kongresowego na swe prace i podróże naukowe — ale nie było w Polsce nikogo, ktoby się nimi interesował; nie znalazł się żaden polski magnat z zasiłkiem, bo nie było żadnego polskiego uczonego, któryby mu zwrócił uwagę na Kaszubszczyznę. W r. 1850 drukował Ceynowa swoje „Kile słov" w Krakowie (dochód z rozsprzedaży na ochronki krakowskie), a czy wzbudził u nas interes żywszy dla tej sprawy? Ceynowa podejmował gościnnie Rosyanina... Ależ byłby podjął tak samo uczonego Niemca, Szweda, Francuza, a najchętniej, najmilej, najserdeczniej byłby może przyjął uczonego Polaka — ale skąd go miał wziąć?

Doprawdy, jeżeli zwyciężyła na Kaszubach zasada, że

Niema Kaszeb bez Poloni,
a bez Kaszeb Polści!

stało się to nie dzięki Polakom, ale pomimo nich. Polski patryotyzm Kaszubów, to prawdziwy „pieczony gołąbek“ dla nas. Nie można piętnować dość ostro tego niedbalstwa. To się musi zmienić.

Książeczka p. Kościńskiego jest nieodzowną dla każdego, kto się chce zapoznać z historyą „sprawy“ kaszubskiej; zawiera cały materyał, niektóre szczegóły publikowane po raz pierwszy, niektóre sprostowane. Autor jest zawsze dokładnym, toteż wszystkie jego prace mają wartość i należy mu się za nie uznanie, którego nie zabraknie mu, zwłaszcza u późniejszych pracowników na tej niwie.

W. Wołodymirow: *Iz putiewych wpeczatlenij. Galicija.* (*K russko-polskomu woprosu*). Petersburg, dekabr 1908, w 8-ce, str. 10.

W lutowym zeszycie podaliśmy w przeglądzie prasy rosyjskiej niektóre ustępy z artykułów ogłoszonych przez gen. Wołodymirowa w *Birż. Wiedomostiach* z powodu zeszłorocznej wycieczki galicyjskiej kilku rosyjskich członków konferencyi praskiej. Otrzymawszy obecnie wydaną w osobnej odbitce całą tę rozprawę gen. W. z hr. Bobrinskim, zwracamy ponownie uwagę na ten epizod z kroniki „neoslawizmu“. Czytając wywody autora w całości i naraz, w ciągłym związku przedmiotu, widzi się, że zaszedł tu wypadek, mający zasadnicze znaczenie, który nie pozostanie bez wpływu na dalsze ułożenie się stosunków pomiędzy prądami słowiańskiemi w Rosyi. W przeciwieństwie do naiwnego i myślącego w polityce po literacku hr. Bobrinskiego, odznacza się generał Wołodymirow nadzwyczajną zdolnością oryentowania się i zmysłem krytycznym. Co zwycięży w neoslawiźmie, czy sentymentem zaprawiony dyletantyzm, łatwy do wyzyskania przez złą wolę innych — czy też program oparty na znawstwie rzeczy? Od tego będą zależały dalsze losy „neoslawizmu“.

Tacy, jak ks. Trubeckoj, prof. Pogodin, i gen. Wołodymirow mogliby pojednać Rosyę ze Słowiańszczyzną i wydobyć państwo rosyjskie z toni, w którą zapada — gdyby mieli wpływy. A że niema nadziei, żeby to nastąpiło........

W każdym razie pozostanie na kartach historyi pamięć tych zabiegów, a naszym obowiązkiem przekazać ją i z naszej strony. Nadejdzie dzień sprawiedliwego sądu o rzeczach, kiedy każdemu będzie jasnem, że ten tylko był dobrym patryotą rosyjskim, kto Polsce był życzliwy, a ten tylko praktycznym, realnym politykiem, czyj umysł stać było na objektywność w osądzaniu stosunków polsko-rosyjskich. Gen. Wołodymirow zdobył się na to w najdrażliwszym może punkcie tych stosunków, w kwestyi ruskiej.

KRONIKA.

Slovanská Jednota. Z końcem stycznia ukonstytuowali się Słowianie południowi, katolicy czescy i starorusini w „Centrum słowiańskie“, liczące 58 członków, a więc liczbą pokaźne, ale z organizacyą luźną,

nie zobowiązującą do niczego więcej, jak do... porozumiewania się. Dobre jednak i to, a zresztą więcej być nie mogło.

Dnia 17 lutego przystąpiła do tejże organizacyi także reszta posłów czeskich (prócz socyalistów). Liczba zorganizowanych posłów słowiańskich wzrosła do 125, zmieniono statut odpowiednio do nowej sytuacyi i tak powstała „Slovanská Jednota“, która byłaby najsilniejszym klubem parlamentarnym, gdyby... gdyby wogóle była klubem. Jestto tylko luźna konfederacya klubów, wśród których są też takie, których głównem zajęciem bywało dotychczas wzajemne kopanie pod sobą dołków, które tedy gotowe wnieść w „Jednotę“ niepożądane wcale swary i fermenty. Rozszerzenie „Centrum“ na „Jednotę“ może w tych warunkach być wcale nie postępem, ale cofnięciem się.

Oby się nasze przewidywania nie spełniły! Ale trudno pojąć, jak mają działać wspólnie i głosować zgodnie ludzie, którzy niezgodą co dopiero rozbili własną organizacyę narodową. Chyba, że poprawią się pod wpływem słoweńskich „klerykałów“. Obyż tak było!

I „Centrum“ i „Jednota“ są bowiem dziełem słoweńskiego obozu katolickiego. Dr Šusteršič chce w ten sposób oduczyć pewne kluby czeskie od radykalizmu, ocalić parlament i konstytucyjne rządy. Oświadczył się też zaraz na czwarty dzień po założeniu „Jednoty“ przeciw obstrukcyi (w korespondencyi *Centrum* i w *Slovencu*), i mniema słusznie. że organizacya, licząca 125 posłów „może się łatwo obejść bez środków bojowych, właściwych małym stronnictwom“.

Niechajże się darzy Dr Šusteršičowi, skoro jął się tak dobroczynnego dzieła. Miałby zasługę wielką wobec wszystkich, a zwłaszcza wobec Czechów. Złotemi głoskami zapisałby się w kronice słowiańskiej, gdyby mu się udało poduczyć ich karności i solidarności.

Nie przestaniemy twierdzić, że solidarna ogólno-czeska organizacya parlamentarna jest conditio sine qua non polityki słowiańskiej w parlamencie wiedeńskim — i dopóki tego niema, patrzymy na wszystko sceptycznie. Spłynięcie klubów czeskich w jeden i jedyny mogłoby się dokonać i w obrębie utworzonej już Jednoty; może nawet dopomoże do tego wpływ słoweński.

Powstanie Jednoty jest też dowodem, że stronnictwa katolickie są wśród Słowian silniejsze od bezwyznaniowych. „Klerikalci“ słoweńscy zorganizowali ogólny klub południowo-słowiański, do którego przyłączyli się najpierw czescy „klerykali“ i pociągnęli za sobą resztę posłów czeskich (nie mających się gdzie podzieć po rozbiciu czeskiego Narodniho Klubu).

Oby „postępowcy“ nie mieli Jednocie za złe, że powstała w ten sposób. Oby się tam uczyli wzajemnej tolerancyi!

W wielki dzwon będzie należało uderzyć tego dnia, kiedy się dowiemy o powstaniu jednego wspólnego Klubu czeskiego.

„Zjednoczenie słowiańskie“ (Slovanská Jednota) będzie siłą polityczną wtenczas dopiero, kiedy się będzie składało z trzech tylko klubów: jugosłowiańskiego, czeskiego i z Koła Polskiego.

Wtenczas spełni się program parlamentarny *Swiata Słowiańskiego*, podany w zeszycie z grudnia 1906 str. 456 („Koło Słowiańskie“ na wzór lwowskiego „Koła sejmowego“).

Koło Polskie może się z Jednotą stale porozumiewać; że jej będzie życzliwe, to się rozumie samo przez się. Wpisywać się do niej byłoby wielce ryzykownem, dopóki posłowie czescy nie zjednoczą się w jeden klub parlamentarny. Póki tego niema — niema nic pewnego, a Koło Polskie nie może iść na niepewne.

Posiedzenia Klubu Słowiańskiego. Posiedzenie 21-go lutego wypadło Prezesowi zagaić w smutny sposób, bo wiadomością o zgonie śp. Jana Zagórskiego. Był członkiem Klubu od samego początku, a przez pewien czas pisywał do naszego pisma przeglądy prasy rosyjskiej.

„**S. p. Jan Ostoja Zagórski**, którego na ostatniem naszem zebraniu przed trzema niespełna tygodniami widzieliśmy jeszcze wśród siebie,

był członkiem Klubu Słowiańskiego od chwili jego powstania. Obdarzony umysłem żywym, a trzeźwym i krytycznym, gorąco się interesował kwestyami, które tu poruszano, i niejednokrotnie głos zabierał, wnosząc do dyskusyi doświadczenie swoje, znajomość społeczeństwa rosyjskiego i ciepło uczuć patryotycznych, które go za młodu w r. 1863 do szeregu walczących za wolność Ojczyzny popchnęły. Uczucia te przechował w pierwotnej ich świeżości aż do końca życia; nie wchodziły one w drogę krytycyzmowi myśli; przeciwnie, uszlachetniały ją, opromieniając idealizmem młodości. — Idealistą był on nietylko w sferze patryotyzmu. Przyniósł z sobą na świat zapał do sztuki, zwłaszcza do malarstwa. Rozkochany w epoce odrodzenia włoskiego, którą badał i znał gruntownie, w wytworach jej wielbił wyraz świata ideału, za którym człowiek wzdycha, i szukał tam wzorów doskonałego piękna. Z tego stanowiska sądząc o sztuce współczesnej, surowym bywał w ocenie tych dzieł, które dziś są wysławiane, a surowość posuwał często do bezwzględnej negacyi.

„Ale idealizm, który kłócił zmarłego z dzisiejszemi kierunkami artystycznemi, nie kłócił go z nami. — Uznawał on, że droga, którą idziemy, jest jedną z tych, co prowadzą do wspólnego celu. Obecność w naszem gronie takich ludzi jak śp. Jan Zagórski, jak śp. Ludomir Gadon, sympatya, którą nas otaczali, najlepszą była odpowiedzią na zarzuty tych, którzy w badaniu Słowiańszczyzny, w zbliżaniu się do pobratymczych nam narodów, upatrywali niebezpieczeństwo dla patryotyzmu. Podwójnie ich przeto ceniliśmy. — Cześć pamięci Jana Zagórskiego".

Ze wzruszeniem i z czcią uczciliśmy pamięć Zmarłego przez powstanie.

Następnie przemówił Prezes o jubileuszu Hwiezdoslawa (patrz poprzedni nasz zeszyt), zawiadomił, że jubilatowi wysłano telegram, podpisany imieniem Klubu przez prof. Zdziechowskiego, dyr. Zawilińskiego i Dra Konecznego, — na który nadeszła odpowiedź w dłuższym a serdecznym liście jubilata. List odczytany, przyjęto oklaskami do wiadomości.

Dnia tego wygłosił Dr. Koneczny odczyt: „Rozstrój polityczny u Czechów". W dyskusyi wypytywano prelegenta o rozmaite szczegóły, tak, że udzielanie dalszych wyjaśnień i informacyj stanowiło jakby drugi odczyt; co niechaj świadczy, jak żywo interesują się u nas sprawami czeskiemi.

Dnia 28 lutego, przejeżdżający przez Kraków do Petersburga poseł Stjepan Radić, na klub nasz zawsze jednakowo łaskawy, miał odczyt na temat: Współczesna Bośna ze stanowiska chorwackiego, serbskiego, słowiańskiego i austryackiego. Streszczenie podały pisma codzienne. Szkoda, że prelegent nie spisał swego wykładu; ogłosilibyśmy go z wielką przyjemnością. Mamy nadzieję, że chorwacki nasz przyjaciel znajdzie czas na wyświadczenie nam tej przysługi.

Dyskusya zeszła na szersze tory, o działaniu i współzawodnictwie dwóch kultur na Bałkanie: łacińskiej i bizantyńskiej.

Całkiem prywatnie odbyła się potem pogadanka o sprawach słowackich z powodu wyjścia z więzienia ks. Jurigi.

(bk) **Stuletnia rocznica założenia Królestwa Illyryi** przypada w roku bieżącym; utworzył je Napoleon w r. 1809. Omawiając bliżej ten ważny dla południowych Słowian fakt, podaje *Slovenec* treściwą historyę. W VII i VIII w. kraje leżące między Dunajem, Sawą a Padem, zwane Sclavinia, pod władzą drobnych żupanów i wojewodów. Po upadku Sama, kraje słowieńskie dostały się pod berło Karola W., który urządził je administracyjnie. Wtedy też powstała Carintia, której granice w X w. sięgały od Dunaju po Pad. Ale już w XI w. całe znaczenie południowych Słowian upada, dzięki parciu Madiarów. Dopiero w XV w. hrabiowie cylejscy podnieśli na nowo myśl zjednoczenia Jugosłowian; Herman połączył Chorwacyę i Bośnę, Urh II. tytułował się banem Chorwacyi i Dalmacyi, marzył o zbliżeniu się do Serbii i podjęciu walki z Turcyą, ale śmierć jego w r. 1456 przerwała te

wielkie zamysły. Pod Habsburgami w latach 1456—1809 r. Kraina tworzyła główny trzon ziem południowo słowiańskich, do niej też należało Pobrzeże, Istrya, Rjeka i Tryest. Dnia 14 października 1809 r. połączył Napoleon Styryę, Krainę, Gorycyę, Chorwacyę, Dalmacyę i Karyntyę w królestwo Illyryi. Zjednoczone kraje cieszyły się wyrozumiałą opieką Francyi, we wszystkich szkołach panował język słowiański, w Lublanie powstała École centrale. W r. 1813 Illyrya się rozpadła, odnowiła ją Austrya w 1818 r., ale bez Styryi, aż 1849 r. zniesiono jej nazwę.

Province Illyrienne obejmowała: okręg Lienz z Tyrolu, Beljaszki z Karyntyi, Krainę, Gorycę, Istryę, Chorwacyę i Pogranicze wojskowe na prawym brzegu Sawy, Dalmacyę aż po paszalik skaderski. Nie należały więc do Illyryi ani słowieńskie okręgi Styryi Dolnej, ani krainy chorwackie na lewym brzegu Sawy.

Spór polsko-czeski w Cieszyńskiem.

Rada Czeska Narodowa uchwaliła jednomyślnie wyrazić ubolewanie Wydziałowi gminnemu w Polskiej Ostrawie na Ślązku, że nie przejęła jeszcze szkoły polskiej, utrzymywanej przez „Macierz", na koszt gminy i wezwać go, żeby to uczynił jak najprędzej. Równocześnie zwróciła się przeciw rajcom ostrawskim cała prasa czeska i to w tonie ostrym. Nawet znane z nienawiści ku Polakom *Narodní Listy* zamieściły w Nrze 57 długi artykuł, którego konkluzya taka:

„Rozsadek polityczny musi naprowadzić Czechów w Cieszyńskiem do przekonania, że pokój z Polakami jest nieodzowny... Bez polskiej pomocy marną byłaby nasza walka w parlamencie. Przyjaźń polska ma dla nas wielką wartość i byłoby to lekkomyślnością, gdybyśmy ją mieli utracić dla sporu czysto lokalnego, który da się załatwić kilku tysiącami koron".

Stoi więc cały naród czeski przeciw rajcom z Polskiej Ostrawy. Opinia czeska, tak jednomyślna, nie wyrobiła się oczywiście nagle, lecz była taką już dawno, a zapowiedziany przez Polaków strajk szkolny w Pol. Ostrawie dostarczył tylko sposobności do wypowiedzenia tej opinii w sposób demonstracyjny.

Jakżeż więc wytłumaczyć upór rajców ostrawskich? Nie znalazłszy wyjaśnienia w żadnem z pism ani polskich, ani czeskich, uważamy za wskazane podzielić się z ogółem informacyami, opartemi na szczegółowem znawstwie stosunków miejscowych.

Szkoły ludowe są na etacie gminnym, utrzymywane z t. zw. dodatków gminnych, t. j. z podatku opłacanego na cele gminy, którego wysokość zastosowana jest procentowo do wysokości opłacanego podatku państwowego. Otóż w Polskiej Ostrawie może sobie gmina pozwolić na „dodatki" wysokie bo 90% dodatków gminnych opłacają wielkie firmy przemysłowe górnicze. pozostające w ręku niemieckiem. Firmy te zmusiły gminę do założenia publicznej szkoły niemieckiej, a Wydział gminny musiał się temu poddać, bo wystarcza firmom zgłosić w urzędzie, że przenoszą swą „siedzibę" gdzieindziej (choćby do sąsiedniej Morawskiej Ostrawy), a w takim razie gmina straciłaby olbrzymie dochody, a owe 90% dodatków trzebaby rozdzielić na obywateli — nie bardzo zamożnych. Te same firmy nie życzą sobie, żeby gmina przejęła szkołę polską na swój koszt. Walka o tę szkołę była więc z początku właściwie tylko walką z „Oesterreichische Montangesellschaft", z firmą Gutmannów i innemi firmami niemieckiemi, z któremi Rada gminna zrywać nie mogła, tem bardziej, gdy już (dzięki ich podatkom) urządziła sobie takie wspaniałe szkolnictwo, że ma na swym etacie 80 nauczycieli czeskich. Gdyby ich nagle wypadło utrzymywać z podatków mieszczan, trzebaby albo przycisnąć śrubę podatkową ponad możność podatników, albo też... zbankrutować.

Ludność polska, uświadamiając się coraz bardziej narodowo, poczęła się domagać polskiej szkoły publicznej. Rada gminna była w kłopocie nielada. Ale tu wdał się w sprawę spryt niemiecki, hakatystyczny.

Niemcom chodzi o to, żeby Polacy kłócili się z Czechami, bo tylko

w ten sposób może Śląskiem rządzić... tertius gaudens. Postępują więc tak: Gdzie zarząd gminy jest w ręku niemieckiem, tam popierają jednę z narodowości słowiańskich. Niegdyś — był taki czas — popierali Czechów przeciw Polakom, obecnie trzymają się odwrotnej taktyki i stawiają w takich gminach szkoły polskie kosztem publicznym.

Gdzie Niemcy nie mają w swem ręku zarządu gminy, ale posiadają znaczniejsze wpływy, tam używają ich zawsze do tego, żeby przy wyborach gminnych dopomagać radykalnemu skrzydłu, polskiemu czy czeskiemu. I Polacy i Czesi mogą się jednako poszczycić posiadaniem nieprzejednanych radykałów, pożerających się wzajemnie.

Dzięki niemieckiemu poparciu (bezpośredniemu czy pośredniemu) dochodzą w coraz liczniejszych gminach do steru nieprzejednani czechożercy lub polakożercy. W ten też sposób popadła i Polska Ostrawa w moc czeskich radykałów i odtąd już Niemcy nie potrzebowali się obawiać o polską szkołę. Byli pewni swego: W Pol. Ostrawie nastanie ostry spór polsko-czeski, podczas gdy w innych gminach sąsiednich Niemcy pobudują Polakom szkoły. I osięgli, co zamierzali, bo dziś na Śląsku nic pospolitszego, jak zdanie, że Niemiec lepszy od Czecha.

W Opawie zacierano ręce z radości, drwiąc sobie z Czechów i z Polaków.

Ale intryga nie starczy nigdy na dłuższą metę. Dzięki energii zarządu „Macierzy“, odrzucającej subwencyę, a domagającej się stanowczo przejęcia szkoły na etat gminny — pękły ogniwa misternej roboty niemieckiego Volksratu.

Radykalni polakożercy z Pol. Ostrawy będą musieli ustąpić, szkoła polska będzie publiczną; jestto kwestya najbliższych tygodni. Na wypadek, gdyby pewne firmy niemieckie chciały gminę za to ukarać, a przenieść się do Mor. Ostrawy — której zarząd jest w ręku niemieckiem — należy pamiętać o ukrytej grze Niemców. Niech Czesi z Mor. Ostrawy zadeklarują uroczyście, ile nam dadzą szkół i jakich (z ilu klasami i nauczycielami) w razie, gdyby z pomocą polskich głosów opanowali Radę miejską. Ale — na radykałów i wielkich „pokrokarzów“ głosować nie moglibyśmy, bośmy się już na nich sparzyli.

Czeska kronika.

† **Antoni Rezek**, wybitny historyk i polityk, zmarł 13 stycznia w Jindřichovem Hradcu. Pracował przeważnie nad XVII i XVIII wiekiem. Kontynuował „Czesko-morawską kronikę“, zaczętą przez Zapa, założył *Sborník historický*, następnie *Český časopis historický*. Po krótkiej docenturze został profesorem nadzwyczajnym w uniwersytecie czeskim, a gdy w r. 1888 Tomek opuszczał katedrę, został Rezek zwyczajnym, jako jego następca. W r. 1896 powołany do ministerstwa oświaty, został niebawem szefem sekcyi. W gabinecie Körbera był trzy lata ministrem-rodakiem. Rozwinął ogromną czynność i zyskał dla Czechów wiele stanowisk w urzędach centralnych i dużo dotacyj rządowych na cele kulturalne.

Nowe opracowanie historyi czeskiej zacznie wydawać w tym roku Dr. Václav Novotný, profesor historyi czeskiej w uniwersytecie praskim, przy współpracownictwie innych jeszcze historyków. Pomnikowe dzieło Palackiego zestarzało się już, a badania monograficzne przyniosły tyle nowych odkryć! Wydawnictwo prof. Novotnego ma wyjść w czterech tomach po 50 arkuszy druku, a treść samą dzielą autorowie na trzy okresy, których granicznikami daty 1346 i 1627. Dzieło ułożone będzie w ten sposób, żeby w ramach historyi politycznej przedstawić zarazem rozwój ekonomiczny, społeczny i kulturalny i to obydwóch narodowości kraj zamieszkujących. Rzecz ma być doprowadzona do roku 1848.

Żydów w Przerowie na Morawach wezwała Rada miejska, żeby nie używali ostentacyjnie języka niemieckiego w miejscach publicznych. Odezwa wzbudziła wielką niechęć wśród Żydów i dała powód do gwałtownych artykułów w pismach żydowsko-niemieckich.

Żadna sztuczność nie prowadzi do niczego, a czy Żydzi mówią po nie-

miecku, czy po czesku — jednako nie są Czechami.

Na wytłumaczenie dziwnego kroku przerowskiej Rady miejskiej trzeba pamiętać, że w niemieckich miastach Czech dawno już faktycznie nie wolno mówić po czesku na ulicy i w miejscach publicznych — inaczej zaraz awantura.

Słowacka kronika.

Madiarska osada pod Tatrami. Jeszcze w poprzednim zeszycie stwierdzaliśmy na tem miejscu w artykule: „Charakterystyka stosunków słowackich", że na południowych stokach Tatr i dalej na całej Słowaczyźnie niema nigdzie rolniczego osadnictwa madiarskiego. W połowie lutego dochodzi nas wiadomość, że ks. Hohenlohe osadził około 60 madiarskich rodzin — samych kalwinów — w gminie Krzyżowej Wsi na Spiżu, sprowadziwszy ich z okolic Debreczyna.

Słowieńska kronika.

Walka o Drawę. Pod tytułem „V boju za Dravo" ogłosił *Slovenski Narod* (Nr. 285 r. z.) obszerny artykuł w sprawie granicy etnograficznej Słowieńców od północy. W okolicach znaczniejszych miast żywioł słowieński cofa się. Statystyka urzędowa wykazuje, że w dziesięcioleciu 1890—1900 stracili Słowieńcy 95 klm². ziemi; potworzyły się już istne wyspy słowieńskie tu i ówdzie, otoczone ściśle morzem niemieckiem i skazane na zatracenie, jeżeli stosunki się nie zmienią. Przybywa wprawdzie w niejednem miejscu ludności słowieńskiej, ale na ogół stawia *Slovenski Narod* smutne horoskopy.

Kwestyą tą zajmujemy się stale, jako jedną z najważniejszych. W maju 1907 r. poświęciliśmy jej artykuł zasadniczy — w związku ze sprawą kaszubską — p. t. „Dwa najsłabsze miejsca Słowiańszczyzny". Wszelkie dane do tej kwestyi skrzętnie zbieramy, toteż nie wahamy się powtórzyć za lublańskim dziennikiem tabeli wykazującej wahania etnograficzne w latach 1890—1900.

Wykaz gmin granicznych o ludności mięszanej ułożono powiatami, a cyfry obok oznaczają procent ludności, jaka przyznała się przy spisach ludności do języka słowieńskiego; pierwsza cyfra odnosi się do roku 1890, druga zaś do r. 1900.

W Styryi:		
Marenberg:		
Sobota	7	2
Pernice	86	84
Sv. Primož nad Muto	100	75
Gortina	8	32
Muta	8	11
Vižinga Zgornja	34	41
Marbeg	8	7
Remšnik	97	99
Brezno	91	92
Arvež:		
Kaplja	91	97
Gradišče	45	53
Klanec	26	49
Selnica na Dravi	83	86
Boč	96	98
Janževska gora	87	93
Slemen	82	91
Sv. Križ	99	99
Rožpoh	87	94
Jelovec	97	95
Vesternica	88	91
Kamnica	81	87
Karčovina	81	56
Leitersberg	93	82
Pesnički Dvor	94	62
Na Ranci	86	56
Gradiška	95	54
Jarenina	98	97
Dobrenja	97	95
Gornja sv. Kunigunda	87	91
Sv. Juri na Pesnici	96	92
Kaniža	98	88
Cerknica	96	53
Vertiče	89	57
Plač	82	82
Slatinski Dol	78	91
Spičnik	93	96
Svečina	76	84
Šv. Ilj	51	75
W Karyntyi:		
Šmohor:		
Brdo	94	93
Goriče	99	96
Sv. Šteben na Zili	98	97
Blače	99	99
Podklošter:		
Smerče	94	72
Straja Ves	95	91
Podklošter	61	54
Trbiž:		
Pontafel	2	2

Lipalja Ves	98	95
Maborjet	1	7
Ukve	96	91
Žabnica	94	81
Trbiž	6	7
Beljak:		
Bleiberg	0	3
Trebnje	2	2
Sv. Martin	5	1
Beljak	4	1
Vernberg	63	60
Marija na Zili	96	91
Bekštanj	94	92
Rožak:		
Kostanje	76	70
Vrba	34	23
Loga Ves	95	97
Rožak	83	90
Št. Jakob	99	99
Celovec, okolica:		
Sv. Martin nad Vrbo	86	73
Poreče	50	9
Blatograd	7	1
Tigrče	0	1
Kriva Vrba	44	22
Sv. Martin pri Celovcu	7	0
Vetrin e	47	3
Št. Rupert pri Celovcu	4	1
Št. Peter pri Celovcu	10	1
Anabihl	13	4
Dhorše	1	4
Št. Peter na gori	0	1
Gospa Sveta	2	1
Trdnja vas	60	12
Sv. Tomaž	46	42
Otmanje	6	10
Škofiče	97	94
Vesca Zgornja	99	100
Bilčoves	99	99
Hodišče	95	69
Kotmara Ves	91	71
Žihpolje	98	55
Žrelc	79	63
Radiše	99	92
Migarje	97	98
Grabštanj	86	87
Pokrče	91	87
Borovlje:		
Bistrica v Rožu	96	91
Svetna Ves	99	97
Slov. Plajberg	98	92
Podljubelj	92	75
Borovlje	61	44
Medborovnica	74	31
Vesca	99	98
Sv. Janez na Mostiču	27	2
Velikovec:		
Tinje	96	95
Važenberg	88	67
Velikovec	27	24
Vobre	95	96
Djekše	89	88
Grebinj	81	83
Št. Peter pri Važinjah	?	91
Ruda	88	81
Št. Pavel:		
Labud	1	1
Sv. Dravograd	70	49

Chorwacka kronika.

Przeciw nazwie „Rjeka“ występuje urząd pocztowy na dworcu tego miasta, odmawiając wysyłki listów i posyłek, na których nadawca wymienia „Rjekę“ jako miejsce swego zamieszkania, motywując odmowę tem, *że* „Rjeki“ niema w nomenklaturze urzędowej. Organ magistracki, *La voce del popolo* wystąpił równocześnie z artykułem, wzywającym wszystkie urzędy, żeby nie przyjmowały i odsyłały posyłki adresowane do „Rjeki“. Madiarzy popierają w tem gorąco Włochów, żeby uznawać tylko włoską nazwę Fiume, która jest zresztą tylko dosłownem tłomaczeniem chorwackiego „rjeka“ (rzeka).

Miasto liczy ludności chorwackiej do 20.000, drugie tyle Chorwatów zwłoszonych i żywiołów napływowych niemieckich, węgierskich, włoskich itp., jak zwykle w miastach portowych. Okolica cała jest czysto chorwacka; używa narzecza czakawskiego i wymawia nazwę miasta: „Rika“ (grem v Riku — idę do Rjeki). W takiem też brzmieniu wypisana jest nazwa miasta w najstarszym dokumencie, w jakim jest o niem wzmianka, a mianowicie w potwierdzeniu donacyj rodu Frankopanich przez króla węgierskiego Belę IV z roku 1260, (Notitiae praeliminares regni Croatiae, Dalmatiae et Slavoniae ed Krčelić, p. 195). Dokument pisany po łacinie, ale nazwa miejsca wypisana tylko w brzmieniu oryginalnem: „Rika“. Jestto więc nazwa pierwotna, nazwana przez autochtonów, którymi są tu Chorwaci.

Druk ukończono 5-go marca 1909 r.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.